

STRONA CZYLI

numer 1/2020

Barys
Bąk
Dzik
Ficnerski
Gawin
Górska
Graul
Hołody
Janczak
Kawalec
Kotłowski

Kulisiewicz
Kusiak
Lazurek
Libre
Łogin-Trenda
Madej
Makowski
Malecha
Marchwicki
Pasewicz
Podlaski

Poklękowski
Pozorski
Różewicz
Sęczyk
Sidorkiewicz
Sikora
Sikora
Tkaczyszyn-
Dycki
Wieser
ZAVKA



SPIS TREŚCI

WSTĘP	4
POEZJA	5
Bąk.....	6
Dzik.....	11
Janczak.....	15
Kawalec.....	19
Kotłowski.....	23
Kusiak.....	26
Madziej.....	31
Malecha.....	35
Podlaski.....	37
Różewicz.....	42
Sęczyk.....	47
Sikora.....	51
Tkaczyszyn-Dycki.....	55
PROZA	61
Barys.....	62
Ficnerski.....	66
Libre.....	70
Makowski.....	78
Pasewicz.....	82
Poklękowski.....	99
Wieser.....	102
KRYTYKA	104
Graul.....	105
Górska.....	110
ROZMOWY NA STRONIE	116
Niektórzy będą rozczarowani – rozmowa Iwa Sadeckiego z Rafałem Różewiczem.....	117
STRONA WOLNA	122
Gawin.....	123
Hołody.....	127
Lazupek.....	129

Łogin-Trenda.....	135
Pozorski.....	139
„Sidor” Sidorkiewicz.....	141
Sikora.....	146
ZAVKA	148



WSTĘP

Wszystko, co pierwsze zazwyczaj sprawia trudność – trzeba się solidnie nagłowić, stworzyć plan, a później ciągnąć ten wóz po wyboistej drodze, na której znaki zapytania bezlitośnie się mnożą. Debiutancki numer Strony Czynnej nie był w tym względzie wyjątkiem - to wypadkowa wielogodzinnych, burzliwych dyskusji, setek wysłanych wiadomości i maili, przekonywania do swoich racji, wreszcie szukania kompromisu i mozolnego składania w całość.

Z nieukrywaną radością odsłaniamy przed Wami efekty wspólnej pracy.

Chcemy, żeby Strona Czynna była postrzegana jako inicjatywa, która spaja literacką społeczność, wspiera wielość różnorodnych środowisk oraz pojmuje „młodość” jako sposób, a nie metrykę. Właśnie dlatego w pierwszym numerze znajdziecie autorów, których inspiracje do tworzenia są niesłychanie zróżnicowane, których pomysły na wyrażenie siebie niejednokrotnie wprawiły nas w osłupienie i których obecność w świecie sztuki waha się od kilku miesięcy do kilkudziesięciu lat.

Łączy ich jedno – zatrzymali nas na dłużej. Niech teraz zatrzymają Was.

Redakcja Strony Czynnej

ROEZZA

Tomasz Bąk

(urodzony w 1991 roku) – kolektyw schizofreniczny, autor trzech książek z wierszami, poematu *Bailout* (WBPiCAK, 2019) oraz jednoaktówki *Katedra* (Wydawnictwo papierwdole, 2019). Laureat Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius w kategorii debiut za tom *Kanada* (WBPiCAK, 2011) i Poznańskiej Nagrody Literackiej; Stypendium im. Stanisława Barańczaka za tom *Utylizacja. Pęta miast* (WBPiCAK, 2018). Mieszka w Tomaszowie Mazowieckim.



Mówię o tym głośno i nie wstydzę,
że korzystam z estetyki, zwłaszcza, gdy
ścina mróz, a rączki przekształcają się w raczki.

Cokolwiek radykalne to wasze centrum:
delikatnie podrapiesz się po nieużytku,
a już skłonni stwierdzić, że skrobiesz,
w majestacie i na widoku, na nic

tłumaczenia, bo nie masz do gadania,
na nic ślina/język, gdy na pysku piana;
brak miejsca na kompromis, gdy chodzi o kompromis
- mówi stanowczy, acz koncyliacyjny.

Tak, bardzo chciałbym wiedzieć, co robią
konserwatyści, gdy przy przekrawaniu papryki
w środku znajdują papryczy płód.

Dział wód, oddział półotwarty

Nafetowany marzeniami, na kultowym meblu
z funkcją spania gotuję się, choć wolałbym gotować tobie,
nawet jeśli nasza rozmowa opiera się na wzajemnej reglamentacji

kontaktów z połową ludzkości. Czy wolałbym, żeby
opierała się reglamentacji? Otóż: niekoniecznie,
choć są rzeczy większe od nas, których chętnie sobie zabronimy.

Np. język jako narzędzie sprawowania władzy
- żyliśmy w czasach, w których Patryk Jaki znał się na interpunkcji
i równouprawnieniu mniejszości seksualnych
- dzień taki dobry, dopóki.

Jeśli twoja wspaniała kultura
nakazuje ci nienawidzić,
zamiast nieść na sztandarach,
spróbuj ją pierdolić.

Płomienna szarość, jawna przemoc
meteorologiczna w kraju długim na pół,
a szerokim na ćwierć, ale aspirującym,
w swym perfekcyjnym kształcie sztabki węgla.

Zadzieramy głowę po to, czego brak nam
na poziomie wzroku (pies modli się
do stojącej na palce puszki po karmie),
a tak naprawdę, to wolelibyśmy nie:

jeśli coś wiemy, to wiemy najlepiej, że talent show
to najwyższa ze znanych świata form
bezpłatnego stażu, i że mówiąc o normalności,
promujemy niechący diskoseksualny model rodziny.

Liczba poniewieranych i poniewierających
może ulec zmianie. Gdybyś zapytała mnie,
który krzyczy głośniejsze, odpowiedziałbym,
że obaj.

You, the people

Spotkany w klubie fitness ksiądz walczy z nieumiarkowaniem w kapturach i bicu. Widział ktoś kiedyś zapisany w kalendarzu liturgicznym dzień nóg? Jeśli wydaje ci się to prawdopodobne, przybij piątkę z Robertem Tekielim. Narodową loterię garmazeryjną sponsoruje zmienne szczęście: trzy na cztery krokiety ze szpinakiem okazały się krokietami z mięsem. Co więcej? Ostatnio intensywnie śnię ponowoczesny program stand-upowy o milenijsie, który zgredzi jak boomer, skutecznie łącząc korzyści płynące ze zdublowanego braku autorytetu. Strasznie nam się zwykłało osiedle, strasznie spieklane stało się miasto. Zapytałaś, dlaczego wysiadamy, i odruchowo miałem odpowiedzieć, że jesteśmy na miejscu, ale nie jestem już pewien, czy to dobre miejsce.

Ida Dzik

urodziła się we wrześniu. Pisze i śpiewa, studiuje na Wydziale Artes Liberales na Uniwersytecie Warszawskim. Angażuje się w działania przeciwko hodowli przemysłowej, nierównościom i kryzysowi klimatycznemu. Wierzy w sztukę polityczną.



ciało kapitału

patriarchat to trudny czas w życiu każdej kobiety
kiedy do władzy dochodzi logika kapitału
kiedy dotąd niewinne ciało zaczyna dojeżdżać antropocen

łonowe włosy ulegają erozji w harvesterze firmy braun
zanika bioróżnorodność flory bakteryjnej pochwy
wyciek pochodnych ropy na twarz
policzki przenawożone kremem
wykarczowana puszcza łydkowa spalona puszcza pachwinowa
rzeka krwi menstruacyjnej podlega regulacji
i spiętrzeniu na eleganckich szpilkach

ze wzrostem poziomu oceanu rosną tereny depresji
spalone kalorie utknęły w atmosferze
a żołądki są wyspą śmieci wyrzucaną na brzeg po sztormie bulimicznego rzyganka

i pozostaje liczyć że kiedyś
skały się zesrają
bagna wyrzygają
rzeki obszczają miasta
bobry zjedzą myśliwych
wyjdziemy z ciemnego błota
spadniemy z gorzkiego nieba
aż dolina krzemowa utonie w glutach
spłakanych żubrzych wdów
aż plamy miesięcznej krwi przebiją parlamenty
aż supermarkety rozpuszczą się w mleku matek
aż ropa limfa osocze smrodliwa papka eksploduje na ziemię
przesączą się fragmenty ciebie i mnie i przez progi
wypełnią wszystkie piękne wieżowce aż wyrzygamy na świat cały świat

staniemy wtedy wszystkie szczerząc kły
aż drapiąc się i pierdząc
nastanie nowy dzień

szkoła

grube na wszystkie klasy lachociągi dupodajki dupowłazy
lamerskie pryszczate niewyrośnięte pedzie
obojniacze niemodne kujony
ze stołówki śmierdzące lesby z plamami na dupie
śmiech echo w muszli gdy wywijają orły głową do sedesu
w wywiniętych plecakach hodują cudze buty
na plecach dźwigają czarne domy z kapturami
krzyże tysięcy przerw i samotnych powrotów

jedne wychodzą na psy i wyjące syreny
drugie kupują żelki i żyletki zawsze w innym kiosku
inne brną aż skórę mają jak wczorajsza kanapka

potem są duże i dzielne i zaangażowane
bodypositivity girl empowerment kontekst kapitału społecznego
tańczą walczą wieszają firanki z dziewczyną

i tylko unikają trzymania się za ręce
kiedy idą z przystanku do bloku rodziców
przyśpieszają kroku przy grupce równolatków

nigdy nie wiadomo kto nadal tu mieszka

odwracalne

ta skrajna przemoc jest wam potrzebna
żeby kolejni kolesie mogli kręcić o niej
kolejne filmy
żeby kolejni kolesie mogli myśleć jak
bardzo
nic z tego nie było w ich gwałtach
które jak się dobrze zastanowić nie były
przecież gwałtami

bo nie grozili nożem, tak?
bo nie podarli majtek, nie?
nie zatykali przecież ust
nie nazywali brudną szmatą
nie pierdolili w dupę
nie podniecała ich krew
bo ona nie rzygała po
bo nie skopali do nieprzytomności
nie na ulicy
i nie nieznajomą
nie w środku nocy
i nie od tyłu

żeby mogli mówić
co za zwierzę
zwyrodnialec

takiego to ja bym

żeby mogli fantazjować
o krwawej zemście na drugim kolesiu
za ten gwałt tak inny od nie-gwałtu
za pogwałcenie prawa własności
za *swoją* kobietę

która nie wiecie czemu nie chce się
spotykać przy piwie z kumplami
która nie wiadomo z jakiego powodu
czasami w nocy szlocha
która uparcie milczy o szatni w
gimnazjum i o domówce po pierwszej
sesji

żeby dalej mogli wierzyć
że chłopak w małżeństwie to nie do
końca to jednak

zawsze warto porównać się do kogoś
gorszego
być delikatnym subtelnym
szarmanckim eleganckim
proszę dziękuję czy mogę skorzystać

uprawiać gwałt jak przystało na
dżentelmena

Aglaja Janczak

(pseud.), poetka, księgarka, szczęśliwa mama dwojga nastolatków; obecnie pracuje jako epizodystka i alternatywna modelka. Laureatka kilkunastu konkursów poetyckich, autorka tekstów piosenek do spektakli teatralnych dla dzieci. Jej teksty były czytane w Radiu Gdańsk (w 2017 i 2018 roku) i wielokrotnie publikowane, także w antologiach. Finalistka konkursu na „Wiersz doraźny 2018” organizowanego przez Biuro Literackie. Laureatka Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej 2019 i XIX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego Kieleckiego Centrum Kultury. Nominowana do Nagrody Fundacji Dużego Formatu 2019. Mieszka z Ukochanym na poddaszu starej warszawskiej kamienicy, planuje wydanie tomiku, prozy poetyckiej i innych książek. Mawiają, że urwała się z cyrku.



MEDYTACJA RYBY

z podróży przesyłasz mi zdjęcie tropikalnej ryby
wyrzuconej przed chwilą przez falę
i podpisujesz: to TY

nie wiem, czy chodzi ci o te
kolorowe kropki i kreski
czy o to, że wypchnięta na brzeg

w oku ryby szukam podobieństwa
może ta rzekoma płaskość to zmyślnie zastawiona pułapka
wielowymiarowej głębi

może ryba tak naprawdę jest tobą który stamtąd
wymierza we mnie spojrzenie łącząc
magentowy wzorek naszych podbrzuszy

i wtedy

w momencie gdy na zdjęciu dostrzegam twój cień

znudzony ocean zwija się
zabiera swój cygański tabor w dal

NOWY RODZAJ ŚWIĘTA

wiatr inhaluje się w szparach okna
migają świecidelka
dzisiaj jest nowy rodzaj święta
wigilia urodzin o których niewielu pamięta

przy świerku
obdarowujesz mnie podróżą do miasta
które wraca po swoje klucze
bo raz już w nas było

jego katedry suną za nami
jak głodne duchy
daj daj przyjdź przyjdź- wymagają cicho
dadzą spokój tylko wtedy gdy z nimi
pobędziesz

palmy na miejskiej plaży
kołyszają kogoś w koronach
zwierzęce gargulce jakby nigdy nic
przed chwilą biegały po dachach -
teraz udają że śpią

pohulanki zimowej aury przepychają nas
uliczkami Barri Gotic
a my coraz bardziej uroczyści
wysoko stawiamy kołnierze

leżą w nas pamiątki
po które ktoś sięga
ciągle wężymy, zadzieramy głowy
jakbyśmy żyli dotąd na dnie

a wybawienie przychodziło z góry

WIELORYBNICY

Wielorybnicy wyciągają łup.

Taszcą na brzeg, zbiera się cała wioska,
rozdrapuje.

Najpierw kobiety i dzieci, starcy,
na końcu zwierzęta.

Potem dzieci toczą mostek wieloryba
w dół zбочa.

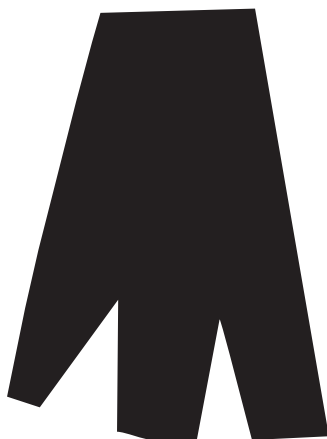
Ich ręce jak szybkie turbiny
decydują o wszystkim.

Szkielet zatrzymuje się stając wybałuszony
dnem. Teraz

wielka czaszka ptaka wypatruje przestrzeni
z której ją wyrwano.

Kamil Kawalec

mieszka we Wrocławiu. Koordynator i animator kultury. Bada warunki rozwoju środowisk młodopoezyckich w mieście. Zdobywca stypendium prezydenta Wrocławia na upowszechnianie kultury. Laureat Turnieju Jednego wiersza im. Tomka Pułki oraz zwycięzca 29. Turnieju Jednego Wiersza im. Rafała Wojaczka. Teksty publikował w „Stonerze Polskim”, „Wizjach”, „Tlenie Literackim”, „Odrze”, „biBliotece”, „Helikopterze”, antologii wierszy „Inter-” z lat 2013–2018 *GLOBALNE WIOSKI* i innych. Odpowiedzialny za eksperymenty w szemranej grupie muzycznej ŻÓŁĆ.



ekranu tabletu

przesuwając zapraszające okładki

haczykowate landszafty na dłoni urojeń zrandomizowane postery

filmowo toną w garści spojrzenia zamglone granice wzroku prześwietla sepia

jednocześnie wspomnienia w tuman contentu a duch transformatora syntezuje ciszę

w oderwaniu od jarzma nadgarstka wskroś osi optycznej ekranu tamtego tabletu

co nastąpi

zobaczyć istotę w całości postawić ją przed
zwierzęciem zobaczyć zwierzę w całości postawić je przed
dzieckiem zobaczyć siebie w całości postawić się przed
matką zobaczyć kobietę w całości postawić ją przed
lustrem zobaczyć mężczyznę w całości postawić go przed
kobietą zobaczyć lustro w całości postawić je przed
całością zobaczyć całość z całości

nie ma chleba

wróbla dziób! ostatni okrucz do strawienia znów

drze klan wron kromkę na pół nie ma chleba i pola w granicach blatu odwrócony nóż

nie ma podmiotu ostrości wyboru nasycenia

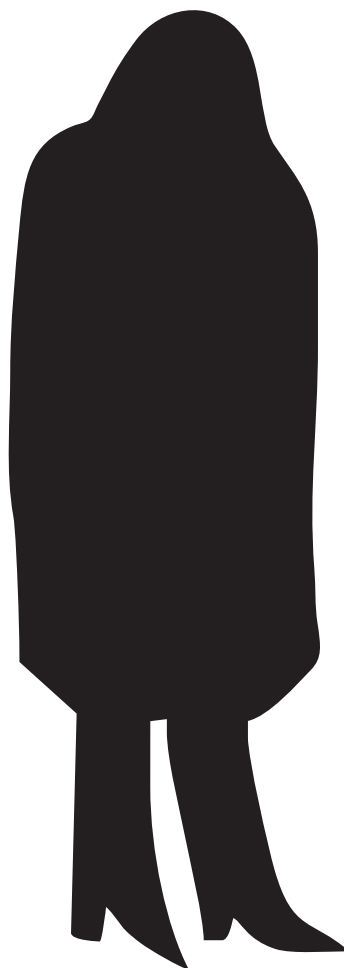
różne tryby burczenia próba przełykania śliny ssanie zasychanie podniebienia

nie ma chleba zawieszony trybunały smaku języka pamięci kubków smakowych

temperowanie głodu bicie pięścią otwartą dłonią deptanie palcami po stole

Maciej Kotłowski

urodzony w 1976 roku w Gdyni. Poeta, malarz. Wydał *Czytanę* w serii audiobiblioteki „Blizy” (2009) i zbiór wierszy *noc kumania* (2011). Autor jednego z komiksów do wierszy zawartych w antologii *Powrót Barbarzyńców i nie* (2013). Publikował m.in. w „Autografie”, „Poboczach”, „Blizie”, „Arteriach” i „Cegle”. Mieszka w Wejherowie.



Ptaka sam walnął się w okno

Na inne zmechanizowane znaczenia wlatuje się dziś.

Spokojnie, są piękne. Urzeczony telefonami.

Muskają je paznokciami z obsydianu.

Spokojnie, są przystojni. Urzeczony ekranami.

Gładzą je opuszkami z tytanu.

Lato jest nasycone końcem jak szmata, wystająca z butelki.

Rano opary osiadają na drzewa. Za niedługo buchną.

Miasto, ulice i samochody jakby chciały zemsty,

że powstały. Opis powstaje w związku opisującego z opisywanym.

Jasne, że dużo ciemniej byłoby zacząć od najdalszego pokoiku.

Jednak mieszkanie, posiada balkon, na który wyrzuca

jak z katakumby. Gdy miasto szumi i jego dalekie kominy,

dają każdemu, czadową naklejkę o istnieniu oddechu.

Informatory kulturalne o tym milczą,

promując zapierające dech w piersi widowiska.

Najdłuższy dzień w podróży

Czas jest bieżący. Tupta w miejscu.
Przeszłość i przyszłość jak dwa jeże,
z tej samej zajezdni, uciekają. Pokryte sprejami nory ze stali.
W jednej z nich jedziemy i dzwoni telefon:

kup tanie mięso dla psów. Jest tańsze niż karma.
Pogoda się zmienia i pada pod nogi. Komuś obok,
butelka wina się zbiła i plecak przecieka.
Wina najbardziej pachną burzami. Ej, przepraszam
możesz zamknąć okno, bo zalewa tu mnie i wszystko.

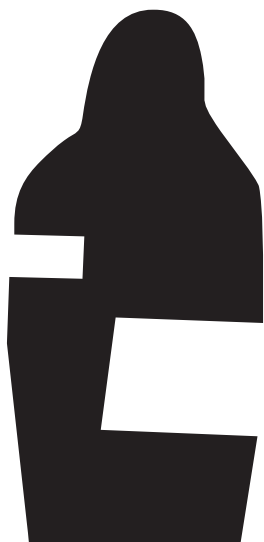
To siedzenie w pociągu i zeszyt, w którym piszę.
Ktoś może tu usiąść. Przesiąkną mu spodnie
albo sukienka na tą letnią porę. Najdłuższe przygody w roku
będą pachnieć winem. Śmiechy dziewczyn i chłopców z mokrymi głowami,
ciągną się ze stacji, aż do dna tunelu. Gdzie jeden z jeży wysuwa już ryjek,
pod wieczór wyjdą szczęśliwe robaki. Będą piły deszcz.
Nasze palce czułe na oczy i kłute przez gwiazdy.

Skaryfikacje

Dziewczyny i chłopcy z rękami w kieszeniach,
chodząc po peronach, wychodzą z Europy
peryferii. Następna stacja ma nazwę parkingu, gdzie można czekać
na wejście do portu. Ułożyły się kamienne kule
jeszcze z placu broni. Tatuaze nudzą się i spływają na czarno do delty,
gdzie bursztynowe kości pasują jak puzzle.
Sztuczne blizny odklejają się i unoszone przez wróble,
trafiają do gniazd. Stamtąd o poranku jest tak cicho,
jakby były prawdziwe i własne.
Gniazda przez to mają zaszyte usta,
jak nasze głowy, zmniejszone przez jasność.

Paweł Kusiak

urodzony w 1998 roku. Autor (i współautor) wierszy, członek kolektywu redakcyjnego pisma „Rzyrador” i członek Krakowskiej Szkoły Poezji im. Aleksandra Fredry. Publikował m.in. w „Wizjach”, „Helikopterze”, „Wakacie”, „Tlenie Literackim”, „Kontencie”, „Stonerze Polskim”, „Małym Formacie” i „biBLiotece”; w ramach Wernisażu Jednego Wiersza napisał pewien wiersz na pewnej ścianie. Laureat 14. Połowu i finalista 13. Pracuje nad debiutem pt. *Grypsy proroków*, przygotowuje też inne projekty. Mieszka w Krakowie, z którego nie pochodzi.



Elegia o katabazie za pieniądze

twoje piwnice są bunkrami
rozrzucone – rozrzutne – nadliczbowe.

zimno biorę za szczegół.

w zamierzchłej gimbazie
chciałem być państwem ościennym

nakładać syndykat na groby.

wyobraź sobie w tym mrozie jest nóż
w tym nożu jest świat. dobieram muzykę

to nie koniec dotkliwych spraw.

kto opłaci pracę żałoby?
tańczy ogień płonie szkło – śpiewnie

przewietrzę. uznam – otwieram lunar.

z zamierzchłej gimbazy
polska pierwszej świeżości.

kabaryna jedzie. kanary poszły w pas

ziemi czyjejs. gdy poznałem nie byłem u siebie
i mogłem więcej. so – larum?

Lupanar – międzynarodówka

złożone krojem szyciem flagi naftowej
nasypy kolejowe – recytatywy.

obok cmentarza z wieżowca na godziny
(skala europy środka) idę: handlują.

woodstock to wszystko – świętojańskie świetlówki.
handlują mnie lokalsi. rządzi mną vibe

fabrykuję go. cykle liżesz z rąk i ust.
melo inferno wietnam – napalm pamięta.

wiersz nie potrafi. nie wystarcza mieszkańców.
kiedy psy wiążą do drzew wyją syreny.

to ulubione. to lekkie bo z moich ust.
to lekkie bo z moich rąk. złożone krojem.

Gromnice dla puli genowej

i płódź żywoty,

aby tak klęły, jak ja

Jan Kasprowicz, *Święty Boże, święty Mocny!*

- 1.** magazyn numerowany nasienny
od wody ognia i głodu.
- 2.** chodź na piwo. spal druki
wyczyść dyski. chodź na wygnanie.
- 3.** wymyśliłem nam zdjęcie.
oczy stójcie. pamiętam hasło.
- 4.** pot chwytny bluszcz na brzuchy
daje mleko arka (świnia). mówię jakkolwiek.
- 5.** sąsiadka oplakuje masę upadłościową.
student zadzwoni po pokój – nie dostanie.
- 6.** pożycz odpowiedź. awataru
niezapomnianego życz mi.
- 7.** kopia piwnice. zjeść fundament
i wypić ściany. mogliśmy iść.
- 8.** znajdę powód na pomnik – mazut
i mewa. rym al dente. kardynalny.
- 9.** plazma nie zna budulca. widzisz
przekaz z noworosji albę odświętną.
- 10.** kto do mnie wyjdzie
będzie obietnicą korektą także.
- 11.** niemieccy radykałowie i francuscy policjanci
za kopiowanie pieniędzy dwadzieścia pięć lat.

12. trzynasta godzina niewdzięcznej pracy
kebab w godzinę duchów.

13. dziękczynienie dla masarni i rafinerii
z konta idzie widmo. drama time.

Daniel Madej

urodzony w 1989 roku. Absolwent Wydziału Mechanicznego Energetyki i Lotnictwa Politechniki Warszawskiej. W 2017 roku zadebiutował tomikiem *Mała epoka*, za który otrzymał Nagrodę im. Kazimierzy Iłakowiczówny.



Fizyka, liryka, banal

Jak utrafić słowem w korpuskułę sensu, nim mignie
komunikat sesja wygasła i wszystkie wstępy, występy i występki
odwieczna siła zgniecie do punktu na osi a przed oczami załopocze flaga
czarnego ekranu i odbije się w nim twarz biała jak czaszka?

Póki co nie myślmy o tym; aby zgnieść butelkę, wpierw trzeba odkręcić.
Trwa polityka gorącej krwi w żyłach: muzyka na żywo do konsumpcji
martwych zwierząt i półżywych roślin. Gdy pytasz co jeszcze?!, odpowiadam: wszystko
będzie
dobrze.

Ten świat, tak dobrze policzony, z takimi współczynnikami
bezpieczeństwa, że trudno go wypaczyć:

A T O M Y łączą się w czą

st

ecz

ki,

a cząsteczki

w

s

t r

z ę

p y;

całą resztę roboty odwała wyobraźnia,
gdy bujasz nóżką założoną na nóżkę,

a pytanie brzmi

(dla dobra szczegółu)

i brzmi

i brzmi

i brzmi

i gŕZmi:

co dzieje się w języku,

zostaje w języku

?

[Dziewczyno pełna złości]

Dziewczyno pełna złości, czy wiesz jak to jest być chłopcem
do bicia, między wyłączeniem latarni a wschodem słońca
jechać do pracy, redagując smutek?

Dziewczyno zapatrzona w zachód, czy znasz również historie
przełęcz Diatłowa i głębin, w których notował kapitan Kolesnikow?

Dziewczyno pewna siebie i niezależna, oddałbym ci co dziewczęce,
ale nie wiem czy się nie obrazisz, że to za mało.

Grzegorz Malecha

co by o nim nie napisać, prawda jest o wiele gorsza. Na pewno mieszka na wsi pod Białogardem i nie był tajnym współpracownikiem. Coś tam wydał, gdzieś tam publikował, raz nawet wygrał. Ma dwie kotki i kota na ich punkcie, lubi stare cmentarze, snookera i pije gorzką herbatę.



pas ziemi niczyjej

areal kombinatu kończył się murem
z jednej strony rzepak z drugiej
lufy t-55 wystrzeliwały w niebo
mur miał oddzielić
pijących od handlarzy
choć handlarze pili na umór
za jesień waszą wiosną naszą
a pijący handlowali w najlepsze
w gorące lata i zimne wojny

echo

a na przykład ojciec
śnił mi się tylko raz
był wtedy jeszcze taki młody
wskazał palcem jakiś punkt
i obaj spojrzeliśmy w głąbię

chemtrails

pani w szkole kupiła nam wtedy oranżadę
za swoje żebyśmy nie czuli posmaku

ojciec akurat przestał palić
urodził się mój młodszy brat

dziadek przyjął na płuca
pierwsze uderzenie

Marcin Podlaski

poeta i językoznawca. Towarzysz Krakowskiej Szkoły Poezji im. Aleksandra Fredry. Członek kolektywu redakcyjnego kwartalnika „Rzyrador”, współredaktor działu Poezji w „Tlenie Literackim”. Laureat Połowy Poetyckiego (2018) i Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Haliny Poświatowskiej (2018), finalista Pracowni Pierwszej Książki Biura Literackiego (2019). Publikowany w antologiach *Pałów. Poetyckie debiuty 2018*, *Wiersze i opowiadania doraźne 2019*, *Szwadron szwargotań. Nowa polska poezja protestu* (w tłumaczeniu na rumuński, 2019) oraz w licznych czasopismach, m.in. „biBLioteka”, „Wakat”, „Odra”, „8 Arkusz”. Pochodzi ze Stępowa w kujawsko-pomorskim, mieszka w Krakowie. W 2020 roku ukaże się jego debiutancki tom pt. *trzysta cytryn do trzeciej potęgi tygrysa*.



Kickstart!

*When I'm enraged
Or hittin' the stage
Adrenaline rushing
Through my veins
And I'd say we're still kickin' ass*

Mötley Crüe – Kickstart My Heart

Uruchom grę
językową. Przedtem
wgraj cracka:
bez tego nie ruszysz
palcem. Grozisz mi
wyginięciem, ja
respawnuję; muszę
dobiec do ciała.
Coraz krótsza ta
faza, odwrotnie
proporcjonalnie
do kreski. Daj mi
na krechę, oddam
gdy tylko

Owca i owies

Oplotły mnie plotki. Pogarda
z dna moczaru. Biorę was
pod las, bo jest mi wszystko
wolne? czy wykrojone?
Jak owcę i owies

kreślę, tzn. kładę kres przez asa
(rip Quorthon). Na miejscu
odnotowawszy nieobecność adresata
wizji, zostawiam awizo.

Transakcja odrzucona,
gdzie się podziejesz?

O chorągiew

Produkt przeceniony ze względu na wadę.
Przesypiam kryzys monetarny, bo jednym słowem
jak lud wykarmię? Jezusie sknerusie,
rozmień no wyraz! Też mam ból w krzyżu,
od noszenia ciała, które płonie
w Lyonie. Dobrymi chęciami wybrukowałeś piekło.
Identyfikuję się jako zwłoki,
że mam udział raczej bierny w ogólnopolskiej akcji znicz.
Gdzie mogę się rozłożyć
z tym wierszem? Gdzie psa pogrzebią?
Psa, co ma krzywe nogi jak sra?
Na na na, na na was.

Repartycja

Proponuję iść na
udry. Na czole
pochodu lunapark.
Chroń pesel zanim
wywiną ci numer
jak dawno temu
spod szóstki. Zwiastun
horroru trzyma
w napięciu. Duch dziejów
to tylko genetywka:
mile widziana
sugestia redakcji.

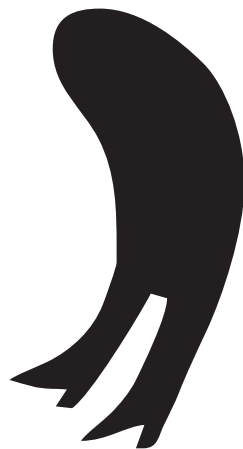
Palcie race, pajace

Pociągnięcie do odpowiedzialności to poznawcze delirium.
Pociągnięcie pędzla – deklaracja polityczna.

Chlipie mi taksówkarz
tu jest potrzebna mądrość. Kto ma rozum,
niech udusi się foliówką:
ta jednorazówka przeżyje Polskę.

Rafał Różewicz

(urodzony w 1990 roku w Nowej Rudzie) jest poetą i redaktorem. Wydał trzy zbiory wierszy: *Product placement* (Zeszyty Poetyckie, Gniezno 2014), *Państwo przodem* (Fundacja Duży Format, Warszawa 2016) i *Po mrok* (wydawnictwo j, Wrocław 2019). Wyróżniony w „Złotym Środku Poezji” w Kutnie (2015), nominowany do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius (2015) oraz do Wrocławskiej Nagrody Kulturalnej „Gazety Wyborczej Wrocław” WARTO (2015, 2017). Zwycięzca plebiscytu „Browar za debiut” (2015). Mieszka we Wrocławiu.



Naj ntisy

To było w czasach, kiedy wszyscy chcieli chodzić,
ale nielicznym udawało się gdzieś zajść.

Kiedy była masa zajść, ale nikt nie chciał gdzieś z tym iść.

Kraj był *free*. Z najwyższych wież puszczano *Freestyler* Bomfunk MC's
i sąsiad w koszulce *Brasil* wciąż wypatrywał swojej gwiazdki.

W głębi ciemnego podwórza wznosił puchar za pucharem i
powtarzał, że inni powiedzieli mu, że to, co się wydarzyło,
na pewno zaprocentuje w przyszłości.

Gdy już nadeszła, przestała być
obietnicą przyszłością, a stała się
męczącą teraz-mniejszością.

I że dopiero przeszłość tak naprawdę to było *coś*.
Zero chodzenia, tylko ciągłe zabiegania.

Perspektywy

Łóżko przypomina wózek Stephena Hawkinga.

I jestem uziemiony (warstwy kołdry – nowe atmosfery),
lecz umysł unosi się jak balon Felixa Baumgartnera,
żeby skoczyć we własną otchłań.

Zejść do jądra ciemności. Znaleźć wewnętrznego Kurtza,
który steruje wszystkim i szepcze,
że w każdej chwili mogę odpłynąć w dół rzeki.

Teraz łóżko przypomina statek kosmiczny.
Źle mu idzie stanie w doku pokoju. Choć to równanie do dywanu
milimetr po milimetrze
ma coś z rozszczeniowości Wszechświata.

Z oknem mam specyficzny układ słoneczny.
Jego światło uśmierca nową gwiazdę, supernową –
wielką jak odległości między planetami
(jedna z nich krąży wokół mnie z kubkiem kawy),

bo jestem gwiazdą na wskroś przyziemną. W kołdrze
same czarne dziury. Tak, łóżko przypomina wózek
Hawkinga. Lecz z każdym świtem przykuty odkrywam
co rusz to gorsze światy, które wciąż są na chodzie.

Na myśl o nich uginają się nogi.

Owoce

Nowy świat już jest: kolejny kwitnący szczytowiec.

Wieża Babel. W jej środku – wyalienowane istoty ziemskie,
bezbłędnie klnące na czym stoi; adekwatnie
do stanowiska, niezależnie od pogody – szklanej,
bo innej tu nie ma (deszcz, śnieg, po szybie to spływa
razem z potem nadgodzin).

Czy istnieje życie pozagodzinowe?

Odejdź, a się dowiesz,

choć tylko wygrani mają prawo odchodzić.

Rolą przegranych jest ginąć, umierać.

David Goodall

Stuczteroletni naukowiec ogłasza, że zamierza
popęlić samobójstwo, bo żyje zbyt długo
i żałuje, że dożył tak okropnego wieku. Po XX wieku

może być coś okropniejszego? Sensacja:

stuczteroletni naukowiec nie chce już patrzeć
na piękną katastrofę. Ma dość grania w przedłużającym się spektaklu,
w którym i tak opadnie kurtyna.

„Choć nie jest to szczególnie smutne”.

Leci więc do Szwajcarii, skąd ma lot na tamten świat,
stuczteroletni Australijczyk lotem błyskawicy obiega świat,

jakby był objazdową biblioteką
z powieści Stachury, z której
nikt jednak nie zamierza wypożyczać książek.

Jakby wiedza znów była zła,
sama w sobie,
zaraźliwa
i po kontakcie z nią można było nawet umrzeć.

Jakub Sęczyk

urodzony w 1993 roku. Teksty poetyckie i krytyczne publikował m.in. w „Odrze”, „Małym Formacie”, „Kontencie”, „Stonerze Polskim”, „Wizjach”. Laureat 14. edycji Połowu. Student filologii polskiej. Mieszka we Wrocławiu.



Z głębokości wołam do ciebie

Światła małych i średnich przedsiębiorstw,
źrenica zwężona jak rant, przebrana miara,
czarujący line-up, głębokie, ściśnięte gardło,
studnia głucha i noc przymknięta powieką.

Tak, bez przeciskania się na drugą stronę, skarbie
drogi mój, bez obracania się lewym towarem,
drodzy moi, miasto upadnie, a światła małych
i średnich przedsiębiorstw rozjaśnią nam drogę.

wiersz o paleniu na przystankach komunikacji zbiorowej dużych miast

Zielony kontener na piasek do zimowej akcji,
zimowy split po zielonych łebkach. Te strony
mogłyby być równe, złożymy się wieczorem
przy krawężnikach.

Niech utleniony będzie ruch,
stałe połączenie między wejściem i wyjściem,
legalny ruch, unieważnione mandaty, miesięczne
bilety, składane w połowy blety zapachu akacji,
zakaz jednostronnego poślizgu w obie strony
żaru, żer, który rozpoczynają chłopcy, tacy jak my.

Zapis z wypadku

Zstępować w dwie wanny, warstwa po warstwie
jak zmywać z ciała osad siebie z wczorajszego,
jak spłukać się do zera, nic prawą dłonią w lewej
kieszeni, co jest na wyrost i na wyrost z siebie
garnuszkem złota na krańcu tęczęwki, skrawku
wanny, znika powoli jak ta para w szybie
między wersami, świat gada do siebie,
coś ucina skraje, kraje, raje, coś je je.

I wszyscy razem

pomoc przyjdzie za późno

rytm kroczy powoli

nie widać się nikomu.

Patrycja Sikora

urodzona w Wieruszowie w 1989 roku. Pisze poezję i prozę. Finalistka projektu Biura Literackiego Połów 2018. Nominowana do Nagrody Głównej XXIV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Bierezina oraz 7. Konkursu Poetyckiego Fundacji Duży Format. Publikowała m.in. w magazynie „Kontent”, „Dwutygodnik”, „Czas Kultury”, „Helikopter”, „Mały Format”, „Tlen Literacki”, „Fabularie”, „Drobiazgi”. Mieszka w Poznaniu.



Iwona Pavlović przyznaje tańczącym derwiszom dziesięć punktów

uczestnicy wycieczek fakultatywnych w opcji b&b nie rozumieją,
dlaczego poranny ezan wyśmiewa europejską jurorkę.

turystki z Polski przymierzają burkini,
ostatecznie rezygnują z niewygodnej sytuacji,
po angielsku: an awkward situation.

obok w dolinie mężczyźni jedzą szkło z pierwszej ziemi -
puszczam im nagranie z lasem, żeby uspokoić
objawy psychosomatyczne i zazdrość
kotom z Vanu błon pławnych. jawnie
określam swój stosunek do długości życia ludzi
z namiotów i domów z blachy.

luksfery odbijają wiersze mewlewitów:
uczę się z nich rysować kredą kurdyjskich chłopców
na przebłaganie za grzechy nasze i całego świata.

na balu charytatywnym tvn Izabela Janachowska zadała szyku.
na wschodnim stepie dziewczęta w mundurach stoją w szyku.

nucę hymn ostatniego państwa

instrukcja dla ludzi nie stąd

wpisujcie miasta i oznaczajcie znajomych:

zróbcie sobie polskie dzieci z mleczną skórką,
z główką gładką jak aksamit, miękką jak aksamit
velvet velvet

skondensowane dzieci, niskosłodzone, bez glutenu.

będziecie tłumaczyć im trudne nazwy makaronów,
dlaczego ludzie ludziom los al dente, dlaczego ludzi
kiedyś al forno, czyli w piecu.

będziecie tłumaczyć im, że dziwne zestawienia
słów bez znaczenia to tylko masturbacja, a miłość
to sepsa.

będziecie tłumaczyć im, że człowiek rozumie tylko
reakcje z facebooka, a jego dom to pusty folder
bez okien w XD home edition trial license key.

będziecie tłumaczyć im, dlaczego tak dużo tego, co
wylewa krew; że pień nie jest głuchy, a śmierć miotu
kota nubijskiego neutralizuje dźwięki z gardeł kobiet.

będziecie drukować zachowania kompulsywne
i palić avatary swoich córek. synowie pójdą na wojnę -
pod koniec sierpnia koniec sierpa.

przygotowanie do życia w rodzinie nie wystarczy.

koktajl mołotowa jest niesmaczny.

dzień matki i dzień ojca nowym skutkiem ubocznym bulimii.

być może psi behawiorysta to światło.

będziecie tłumaczyć im, dlaczego

szukam copywritera do opisu kategorii wózków dziecięcych

mali chłopcy z Aleppo mają siedemdziesiąt dziewięć lat,
dziewczynki wożą ich suche ciała zamiast lalek i przykrywają
kamieniami. co się dziwisz -
usta pełne gruzu nie mogą się modlić. mdli mnie
zabawa w wojnę; że śmierć to kaprys. pryzmat
wielofunkcyjnych wózków dziecięcych zniekształca
mi obraz matki i ojca.

nie mamy co robić, więc rodzimy

to nie jest ogłoszenie o pracę. płaczę.

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki

autor tomów poezji oraz zbioru krótkich próz drukowanych cyklicznie w czasopiśmie „Kresy”. Laureat m.in. Nagrody Literackiej im. Barbary Sadowskiej (1994), Nagrody Niemiecko-Polskich Dni Literatury w Dreźnie (1998), Nagrody im. Kazimierzy Łłakowiczówny, a także Nagrody Literackiej Gdynia (dwukrotnie) oraz Nagrody Literackiej Nike (2009). Publikowane w numerze utwory pochodzą z książki *Dwie główne rzeki*.



I.

moje ciało nie jest moim
ciałem choć do mnie należy
przeszłość i twoje ciało
nie będzie ani chwili dłużej

twoim ciałem (mimo że wciąż
starasz się pięknie wyglądać
mój wierszu) nie mówiąc o dniu
wczorajszym kiedy chciałeś

w oczach świata podobać się
jeszcze bardziej mój synu

II.

wywiozłem z przemyskiego wszystkie
papiery ale groby groby
pozostawiłem na miejscu i to jest to
co mogłem dla siebie uczynić

wynająłem samochód z Krowicy
Hołodowskiej i wywozłem część
księgozbioru wraz z orzechową
szafą (po co mi to było?) ale groby

groby pozostawiłem w otulinie
drzew które mijaliśmy po drodze
i to jest to co mogłem sobie
zapewnić oprócz orzechowej szafy

III. Piosenka o epizodzie mieszanym

język mojej poezji jest
językiem setki lub dwusetki
ketrelu albowiem z każdym
kto przyjdzie trzeba się kręcić

wszelako język mojej poezji bywa
językiem trzech lub czterech
setek ketrelu i wtedy nie powinien
być mylony z językiem fluanxolu
który sam w sobie pozostaje martwy
niczym język mojego dzieciństwa

IV. Dobra i zła nowina

wszelako język mojej poezji
jest językiem skupienia
choć bywa mylony łączony z językiem
mojego dzieciństwa które także

chciałbym zatrzymać w tej samej chatce
w tej samej izbie (o glinianej
polepie) chciałbym zatrzymać matkę
i jej zachwaszczoną polszczyznę

którą chętnie ulepszę w tej samej
izbie z chlebowym piecem
poprawię siebie i ciebie i posprzątam
po Dyciu ale nie mam dla kogo

V. Pantofelek

na moich oczach (w którym
to było roku?) wywlekli matkę
z izby większej paradnej
zanim postanowiłem działać

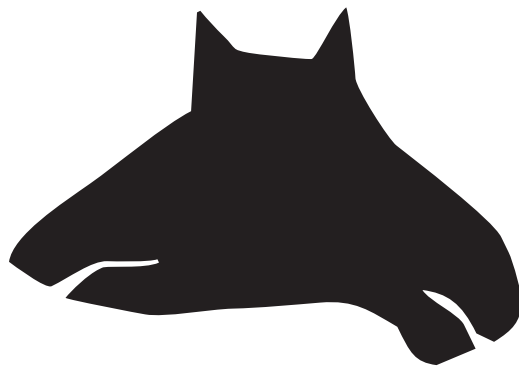
zanim zacząłem płakać
i krzyczeć (czyli pisać
ów wiersz) wywlekli ją tak
że z osoby ładnej

bardzo ładnej nie zostało nic
oprócz bucika w moim ręku

PROZA

Łukasz Barys

urodzony w dniu śmierci Bohumila Hrabala, laureat ogólnopolskich konkursów poetyckich, m.in. Grand Prix konkursu im. Reinera Marii Rilkego, konkursu im. Haliny Poświatowskiej, konkursu im. Georga Trakla; publikował w gdańskim „Autografie”.



Obejście

I.

Ojciec został bohaterem narodu. Zasiada na leżaku, odchyła się do tyłu i zapada w buńczany sen. Skwar sprawia, że ojciec rośnie. Rośnie jego biały brzuch i przypomina pagórek, pod którym ciemnieje dolina przetykana ciemnymi, stężałymi strumieniami żył. Zwiedzam dżunglę włosów obrastających dywan tłuszczu na klatce piersiowej i obserwuję ojca przez kroplę potu. Wkrótce nadyma się tak bardzo, że wzlataje do góry. Szybujemy nad naszą wsią, ojciec udaje bojowy samolot. Tratatata! Tratatata! Strzela do wrogów naszego małego państwa i wypatruje odszczepieńców, którzy uciekają w popłochu, przerażeni cudem inwigilacji. Wydaje się, że zapanuje spokój, lecz ojciec mdleje, odurzony trującymi wyziewami prawdziwych samolotów, spada i rozbija się o ziemię.

II.

Odwiedził nas sprzedawca dewocjonałów, matka gości go ciastem. Sprzedał nam woskową dziewicę, która ma wiele funkcji, ale sprawdza się także w bezruchu. Przypomina świecę. Matka obchodzi z nią cały dom. Tu udajemy się na spoczynek, tu spożywamy wieczerzę, a tu obmywamy się z grzechów. Woskowa dziewica chce mieszkać w łazience, ale para spod prysznicza sprawia, że święte ciało się rozpuszcza, więc matka stawia ją przy paprotce. Woskowa dziewica ma ciało przezroczyste jak rybia łuska

i przepuszcza słońce. Oto świętość, myślę sobie, pozwolić przyrodzie zapanować nad sobą. Ale ojciec mówi, że woskowa dziewica to chiński szmelc. Ona nie reaguje na drwiny. Słońce stopiło linię jej ust i dolna warga opadła. Matka rozpacza, że wydała tyle pieniędzy na wadliwy towar. Skąd miałam wiedzieć, że jest upośledzona? Woskowa dziewica uśmiecha się pod spłaszczonym nosem. Pewnego popołudnia upada na podłogę i rozbija się na tysiąc kawałków. Matka tego nie słyszy, tłucze na niedzielę schaby.

III.

Upośledzony kuzyn zawsze był niezwykle otyły, ślamazarny i powolny. Przypominał mi rozległą plamę planktonu unoszącą się na falach. Dzieciństwo spędził w zamknięciu razem z kurami, psem i królikiem, któremu skręcił w końcu kark. Musiał iść do pracy, bo odebrali mu rentę. Odnalazł się w ochronie i wkrótce zdobył tytuł pracownika roku. Potrafił kilkanaście dni wystać bez słowa skargi. Po prostu patrzył przed siebie. Nic nie robiło na nim wrażenia: ani migające światełka, ani szybkie dłonie kasjerek. Przegryzał ukryte

w grubych dłoniach pęto kiełbasy. Niektórzy próbowali to wykorzystać. Sądzi, że łatwo oszukają debila. Pewnego dnia kuzyn pochwycił dziesięciolatka, który ukradł dwa batony. Dziecko miało królicze zęby i wiło się niczym zwierzątko. Kuzyn skręcił mu kark. Odtąd siedzi w domu i żali się wszystkim na niesprawiedliwość rynku pracy. Przyglądam się jego włośchatym, grubym palcom podobnym do opitych krwią pijawek.

IV.

Ciotka całe dni spędza na kanapie. W jej topornych palcach błyska maleńka igła. Suchy język obraca się w popękanych ustach. Skrawek materiału nabiera kształtów. Ciotka zamierza uszyć dojrzewającą dziewczynkę. Lalka dostaje oczy z guzików i włosy z włóczki. Po kilku tygodniach pracy jest gotowa. Ciotka stawia ją na krześle i podaje obiad. Szuka na składowisku złomu wózka i wsadza dziewczynkę do środka. Karmi ją owocami morwy i jarzębiną. Matka mówi ciotce, przestań, bo dziecko będzie chore. Ciotka złości się na matkę. Co ty wiesz o wychowaniu córki, mówi. Twoja własna uciekła z cyganem i rodzi mu dzieci w Rumunii. Matka zdążyła zapomnieć zdjęcie smagłych wnuków wysłane niegdyś MMS-em. Nie powinnaś mieć dzieci, bo wszystkie ci umierają, odgryza się ciotce i pragnie odgryźć sobie język. Nocą ciotka będzie kłuć dziewczynkę szpikulcem do opiekania kiełbasy. Następnego dnia znajdę kłębowisko szmat w popiele i pomyszę, gruszka.

V.

Mąż kuzynki miał dobrą pracę: był woźnym w magistracie. Kochał swoją żonę i przynosił jej prezenty: kubeczki, długopisy, przypinki i smyczki z logo prezydenta miasta. Mówił,

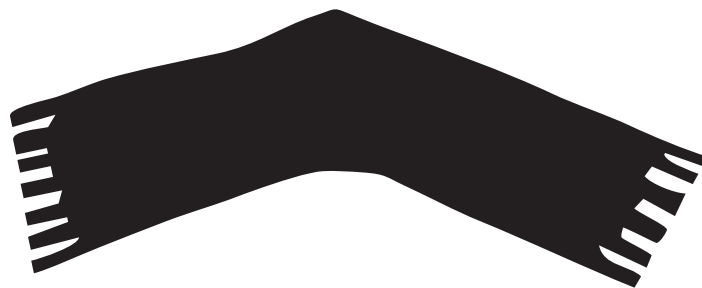
że to zawsze zostaje i nikt tego nie chce. Cieszył się, ale na smutno. Kuzynka nienawidziła swojego kochanka, ale wymykała się z nim do sadu, bo nie miał pracy i nie przynosił żadnych prezentów. Pragnęła się obrzydzić we wszystkich oczach i nie chodziła wraz z mężem do komunii. Ludzie mówili, że w sadzie trzyma sobie włóczęgę. Woźny magistratu, zagadnięty o żonę, mówił o sadzie, że umiera i nie urodzą się żadne jabłka podczas suszy. Módlmy się o deszcz! Jego koledzy ze wsi pukali się w czoła. Mówili, urodzi się, ale nie tobie i nie jabłuszko, tylko z jabłuszka. Woźny magistratu chwycił za kosiarkę

i rozgrzewał silnik do czerwoności. Modlił się o nogę albo palec człowieka, który zniszczył mu życie. Modlił się o deszcz, by zmył ślady krwi. Kuzynka leżała w suchej trawie

i napychała usta maleńkimi śliwkami. Stara pszczoła dostała klimatycznych depresji wieku średniego. Obserwowała kosiarkę w napięciu. Jakby mówiła: poszedł w tamtą stronę, pospiesz się, to oberzniesz mu głowę.

Victor Ficnerski

urodzony w 1990 roku w Berlinie. Matura we Wrocławiu. Dwa podejścia na Wydziale Nauk Społecznych, kierunek filozofia. Praca na przypadkowych stanowiskach. Podróże. Publikacje w „Wyspie”, „Fabulariach”, „EleWatorze”, „Akancie”, „Afroncie”, „Arteriach”, „Cegle”, „Tlenie Literackim”, „Helikopterze”, „Obszarach przepisanych”. Obecnie przebywa w Lipsku.



NA WYNOS! (fragment)

OBORNIKI ŚLĄSKIE, LUBNÓW

We Wrocławiu przesiadłem się w pociąg do Obornik. Moi rodzice mieszkali w małej, poniemieckiej wsi oddalonej o cztery kilometry. Domy pozabijane deskami, krowy przebiegające ulice, jeden jedyny sklep i jeden zapyziały bar. Macie ten obraz przed oczami? Świeże mleko co wtorek i menele koczujący na poboczu. Co do cholery strzeliło mi do głowy? Czy wciąż nie potrafiłem rozgryźć różnicy pomiędzy krótkoterminowymi rozwiązaniami a długodystansową taktyką? To taka głupia sprawa. Czemu wciąż dokonywałem sabotażu? Miałem jasno wytyczony cel! Podobno na osiągnięcie mistrzostwa w dowolnej dziedzinie potrzeba dziesięciu tysięcy godzin. W kwestii pisania sprawa wydaje się być nieco bardziej skomplikowana. Mało kto jest w stanie pisać dłużej niż trzy godziny z rzędu. Praktyka to przede wszystkim czytanie. To czas, który poświęcasz na codzienne marzenia, gdy leżysz na plecach i pozwalasz myślom płynąć swobodnie.

Zaraz wyliczyłem, że potrzebuję dziesięciu lat, żeby zostać pisarzem.

Wmawiałem sobie, że wciąż gromadzę doświadczenia, że czekam, aż mi się tam w środku wszystko skisi, wymiesza i wybuchnie w jednej potężnej erupcji. To jedynie wymówki. A jedyna rzecz, która nadawała moim poczynaniom namiastkę heroizmu to oscylowanie pomiędzy dwoma światami. Albo trzema.

Zatrudniłem się w fabryce słodyczy. 5 zł na godzinę. Wszedłem do holu wyłożonego brązową boazerią i podbiłem kartę pracy. Wręczono mi biały fartuch i czapkę z daszkiem. Zaraz zawołał mnie ochroniarz i zaprowadził na magazyn. Poinformował mnie, że mój pracodawca, Zakład Wyrobów Cukierniczych MIŚ, jest w trakcie procesu z Wedlem o prawa do ptasiego mleczka. Rozglądając się dookoła obawiałem się, że Wedla stać na lepszych prawników. Boazerię zastąpiły teraz goły beton i szary grunt. Wokół rozciągały się rzędy palet pełnych słodyczy. Pełnych ptasiego mleczka, bombonier, duńskich lukrowanych herbatników.

O dziewiątej pojawił się kierowca i zaczął rozładowywać kolejne.

Spojrzał na mnie, zmierzył mnie wzrokiem i splunął na ziemię. Znów czułem się jak w szkole. Stałem tam jak debil zastanawiając się co poszło nie tak. Potem kierownik

wysłał mnie na pierwsze piętro po rożki do lodów. Gdy wróciłem, wszyscy jedli kanapki. Ktoś otworzył pudełko ptasiego mleczka, ktoś inny odpalił Youtube na stacjonarnym rzęchu

w stróżówce. Tak minęła reszta zmiany. Kilku facetów wpatrzonych w wypukły, zabytkowy ekran, objadający się słodyczami.

Wsiadłem na rower i pojechałem do domu. 5 zł na godzinę. Moja matka stała w korytarzu i żądała trzydzieści procent z pierwszej wypłaty. Kilka dni później znalazłem takie ogłoszenie:

NAJME DO OBSŁUGI GIEŁDY SAMOCHODOWEJ. PRACA W BIURZE, W OBORNIKACH. JĘZYKI OBCE MILE WIDZIANE.

I zatrudniłem się jako spedytor.

Nie miałem pojęcia, czym jest giełda samochodowa. Spytałem ojca, ale też nie wiedział. Podrapałem się po głowie, wsiadłem na rower i pojechałem do Obornik. W nieco klaustrofobicznym pomieszczeniu siedział spaślak ze srebrnym krzyżem na szyi i żelem we włosach.

– Potrzebuję spedytora – powiedział. – Operujemy na internetowych giełdach transportowych. Spróbuj pan?

– Spróbuję – odpowiedziałem.

Czym jest giełda transportowa?

Już wyjaśniam. To miejsce, w którym firmy spedycyjne oraz więksi lub mniejsi producenci wystawiają wolny ładunek. Wolny ładunek to zazwyczaj jakiś nieprzewidziany, nadprogramowy lub wymagający pośpiechu towar, który trzeba przewieźć z punktu A do punktu B. Frachty tego rodzaju zleca się małym firmom z krajów drugiego świata, których flota składa się wyłącznie z busów, czyli aut do trzech i pół tony podchodzących pod kategorię aut osobowych, co zapewnia znacznie mniej regulacji. Firma Zbyszko, w której się zatrudniłem, posiadała trzy takie busy. I trzech beznadziejnych kierowców. Moim zadaniem było utrzymywanie ich w ciągłym ruchu. W wolnych chwilach zajmowałem się *handlem*, co polegało na kupnie frachtu od Niemców i wciśnięcie go Polakom za grosze. Moja prowizja wynosiła dwadzieścia procent.

Więc siedziałem na dupie, popijałem kawę i rozsyłałem auta po całej Europie. Nawet odechciało mi się podróży. Wodziłem palcem po mapie, a kierowcy, którzy zjeżdżali do firmy, zapewniali mnie, że miasta, do których ich posyłam, są dokładnie takie same, jak każde inne. Wkrótce wynająłem mieszkanie w Obornikach. Zacząłem nosić koszule, jadłem łososia w śmietanie. Potem zacząłem się nudzić. Z okazałą sumą na koncie postanowiłem wrócić do Berlina. Ale nie uprzedzajmy faktów. Zajęło mi to jakieś dwanaście miesięcy.

Kuba Libre

rocznik 1996. Urodzony w Zielonej Górze, z którą do dzisiaj przebywa w skomplikowanym związku, zagrożonym rozpadem z powodu niedawno zakończonego trzyletniego romansu z Trójmiastem. Niedośły piłkarz i niespełniony filmowiec. Ze światkiem literackim łączy go tylko tyle, że lubi sobie czasami coś napisać. Własnym nakładem wydał dwie pozycje książkowe (*Ambulanse też się psują* - 2018; *Tego lata kwiaty zwiędły w marcu* - 2019), które do tej pory zostały przeczytane setki razy - ale tylko przez niego samego. Działa pod szyldem „Wertruizm”, który interpretuje następująco: to połączenie „Wertera” i „truizmu”, czyli oczywiste pierdolenie w oczywistym stylu o oczywistych rzeczach uprawiane przez gościa, który sam nie wie o co mu chodzi i wini cały świat za to, że nie może sobie poradzić z samym sobą.



(***)

Mam bogate życie wewnętrzne. I uznałbym ten fakt za całkiem uroczy, gdyby nie to, że jest to jedyne bogactwo, jakim mogę się pochwalić.

W szóstym sklepie z rzędu nie dostałem taśmy klejącej. Nigdzie nie mieli na sprzedaż taśmy klejącej. Powiedziałem tamtemu panu za ladą, że jest to cholernie fascynujące. Nigdzie nie mogę dostać taśmy klejącej. Odpowiedział, że w zeszłym roku zjechał pół Gdyni w poszukiwaniu sznurówek. Bo to te duże sklepy. Przez duże zamknęły się małe. Ale duże nie mają wszystkiego, co proponowały małe. W tamtym momencie uznałem, że wszelkie dialogi będę przytaczał w formie opisowej. Ten sposób pozostawia większe pole do popisu.

Zacząłem zachwycać się rozmowami, w których pomiędzy „hej” a „pa” nie ma żadnej treści.

Odczuwam największy dysonans od lat. Ten taki z tych dysonansów, że wchodzisz do sklepu głodnym, chodzisz po nim przez dwadzieścia trzy minuty i nie kupujesz nic. Wychodzisz przez zamkniętą kasę, przeskakując przez taśmę z napisem, nie, akurat na tej taśmie nie ma napisu, ale przeskakujesz przez nią i wychodzisz omijając wszystkich tych ludzi stojących w kolejce, których musiałbyś przeprosić, żeby przejść przez otwartą kasę obok nich. Znając życie, jedną z pań dotknąłbym niefortunnie dłonią w sposób sugerujący jej, że to nie była dłoń i musiałbym przeprosić dwa razy.

I naprawdę, mówię ci to szczerze, naprawdę, nigdy więcej nie chcę już być częścią niczego skomplikowanego. Nigdy. A już na pewno nie chcę być częścią niczego skomplikowanego z mojej inicjatywy. Albo powodu. Stosujmy zamiennie.

Trzeci z nas rozpoczął dzisiaj zmianę o 19. Do 15 nie dawał znaków życia. Zażartowałem, że może nie żyje. Dostałem odpowiedź, że „szczęściarz”. Pół roku temu zapisałbym tę sytuację w notatniku, włączył Kudasai, otworzył piwo i wysrał się o tym na stronę A4. Dzisiaj tylko się wkurwiłem. Wiesz dlaczego? Bo nie chcę być częścią niczego skomplikowanego z własnej inicjatywy.

Zaczęło mi przeszkadzać siedzenie w balonie. Siedzenie w balonie i fakt, że jedyne czego potrzebuję to para oczu, w które mógłbym spojrzeć. Ale ta para oczu nie ma czasu. Albo

ochoty. Albo czegoś jeszcze innego, o czym nie chce powiedzieć. A ja potrzebuję tylko pary oczu, w które mógłbym spojrzeć.

Układam plan na najbliższe miesiące wszystkim dookoła. Mówię: człowieku, pójź tam na praktyki i powiedz, że popracujesz za darmo przez trzy miesiące. Potem otworzymy ci lokal, wyłożę na to pieniądze, spróbujesz, po roku oddasz mi trzykrotność. Albo mówię: powiedz jej, to proste, zagraj w otwarte karty, przecież nie masz nic do stracenia. A potem wracam do domu, siadam sobie w baloniku i jedyne co znajduję, to igła w kieszeni. Resztę sobie wydedukuj. Jest takie słowo?

W tym mieszkaniu nie ma żadnego porządnego urzędnika. Nawet człowieka.

I ta niesamowita sprawa. Że kiedyś opowiedziano komuś żart, ten ktoś się zaśmiał, ktoś inny to nagrał, a teraz to jest wszędzie. Ten śmiech jest wszędzie. Jak zostać takim fenomenem?

Fenomenem. Muszę coś zrobić w wieku dwudziestu czterech, żeby udało mi się trafić do dwadzieścia siedem.

Ale chujnia. Chujnia jak chuj i mówię mu:

- Proszę pana, ale przynajmniej piwo można wszędzie kupić.
- I chleb.

Wszelkie dialogi będę przytaczał w formie opisowej.

Konsekwencja.

(*)**

Szerokość deblowego pasa kortu tenisowego powinna wynosić 137 centymetrów, wliczając powierzchnię jednej taśmy wyznaczającej go.

Słońce nie chciało odpuścić. Chodziłem jak cień za starszym panem, którego czapka z daszkiem od kilku lat pragnęła pozbyć się swojego pomarańczowego koloru. Klękając w zaznaczonych miejscach, podkładał sobie karton, na którym lądował tylko jednym kolanem. Drugie zatapiał w zroszonej potem mączce ceglanej, którą rozsypywałem przez poprzednie cztery dni w stosunku dwóch worków na siedem kroków. Kiedy po wbiciu pierwszego śledzia szliśmy na drugi koniec taśmy w celu naciągnięcia jej za pomocą specjalnie zmodyfikowanego pasa transportowego, wyjaśnił mi, że równo położone linie boczne to priorytet, ponieważ stanowią matrycę dokładności. Po położeniu dwóch rolek wyznaczających pas deblowy dokonywaliśmy pomiarów jego szerokości. Za każdym razem miarka wskazywała 137 centymetrów, wliczając powierzchnię jednej taśmy wyznaczającej go. Wrzucaliśmy narzędzia do taczki, kiedy powiedział:

– To bardzo istotne, żeby nie dać sobie przyzwolenia na choćby najmniejszy margines błędu. Jeśli przymkniesz oko na centymetr, później przymkniesz też na trzy.

Walec służący do utwardzania powierzchni kortu tenisowego waży 285 kilogramów.

Kiedy rozlokowaliśmy wszystkie taśmy, starszy pan poprosił, żebym przywiózł z magazynku dwa worki mączki ceglanej, którą następnie rozrzucił równomiernie na każdą z linii. Następnie wskazał na walec i powiedział, abym po każdej z nich przejechał, koniecznie w obu kierunkach. Zabieg ten w jego opinii nie daje gwarancji, ale obiecuje prawdopodobieństwo, że przez sześć miesięcy taśmy zostaną na swoim miejscu, dzięki czemu zaoszczędzimy sobie w przyszłości pracy przy ich poprawianiu. Odwróciłem się, a on rzucił do moich pleców informację o konieczności priorytetowego traktowania tego zadania, bo solidnie ubity kort pozwoli zaoszczędzić na mączce wynoszonej przez graczy na butach.

Dziewięć ton materiału popakowanego w worki po 40 kilogramów każdy kosztuje pięć tysięcy złotych.

Ptaki przestały ćwierkać, a moje gołe łydki zaczął owiewać chłodny wiatr. Starszy pan ściągnął z głowy czapkę i kładąc otwartą dłoń na brzuchu, stwierdził, że na niego już pora. Na odchodne poinstruował mnie o sposobie roszczenia kortu. Według jego wskazówek miałem polać obficie, ale będące tego efektem kałuże nie mogły tworzyć warstwy grubszej od podeszew moich butów. To bardzo ważne – jak powiedział – bo tylko w ten sposób damy nawierzchni szansę na odpowiednie związanie się. Uścisnęliśmy sobie dłonie, odprowadziłem go wzrokiem do drzwi szatni, po czym ruszyłem w kierunku zwiniętego węża i zaworów.

Czterdzieści minut później przysiadłem na murku. Obojętnym ruchem wyrzuciłem za siebie zgnieciony kartonik, wciąż nie do końca przekonują mnie te napisy o śmierci. Moją uwagę przykuła jedna z taśm położonych przez nas tego dnia. Ruszyłem w jej stronę, po drodze wyciągając z kieszeni miarkę. Jak psu w mordę – 136 centymetrów. Przykucnąłem trzy metry dalej – 135 centymetrów. Wstałem i zrobiłem krok w stronę następnego pomiaru, kiedy mój but zapadł się w podłożu do poziomu skarpetki. Rozejrzałem się i zrozumiałem, że akurat w tym miejscu wylałem trochę za dużo wody. Niezgrabnie wyskoczyłem poza pole gry i otrzepując but, oszacowałem czas, który musiałbym poświęcić na naprawienie tych niedociągnięć.

Spojrzałem na zegarek.

Jedyny priorytet, jaki w życiu miałem, wypadł listonoszowi z torby.

Podrapałem się po głowie i ruszyłem w stronę szatni.

(*)**

Osiem piw.

Drzewa szumem prosiły mnie, żebym przestał.

Ławka w parku. Ławka jak tysiąc innych ławek. Park jak tysiąc innych parków. Przeczesałem dłonią włosy i wytarłem ją o spodnie.

Z huśtawki nikt nie korzystał. Wzruszyłem ramionami i stwierdziłem, że to chyba nie jest żadne zaskoczenie. Była druga w nocy i dopiero po chwili dotarło do mnie, że nawet ptaki nie chcą uczestniczyć w tej scenie. Zakrztusiłem się dymem i splunąłem pod buty.

Ten domek wciąż tam stoi. Ten domek wciąż tam stoi i jest ciemnobrązowy. Wtedy przywodził mi na myśl lepiankę, a papa, którą pokryty jest dach, przypominała bulgoczącą lawę, rozgrzewaną przez nachalne słońce będące wizytówką tamtych wakacyjnych dni.

Drzewa szumem prosiły mnie, żebym przestał.

Miałem pięć, może sześć lat. Wozila mnie tam w każdy wtorek. W każdy wtorek odbierała mnie wcześniej z przedszkola, zawiązywała pod szyją niebieską kokardkę i sadzała w foteliku na tylnym siedzeniu. Ten domek wciąż tam stoi. Ten domek wciąż tam stoi i jest ciemnobrązowy.

Wujek od zawsze palił papierosy. Odkąd pamiętam, wujek od zawsze palił papierosy. Nie wiem co zacząłem kojarzyć szybciej, turkot diesla z poczuciem bezpieczeństwa czy zapach dymu z postacią wujka.

Drzewa szumem prosiły mnie, żebym przestał.

Wujek palił też w domu. Dymem przesiąknięte były jego ubrania, jego dłonie, fotele w samochodzie, koce wiszące na trzepaku obok lepianki. Wujek palił wszędzie. Miał żółknięte paznokcie i podpalone wąsy. Pamiętam, że nalewał wodę do czajnika i nie czekając, aż się zagotuje, po prostu pstrykał zapalniczką. Przywoziła mnie tam w każdy wtorek. W każdy wtorek odbierała mnie wcześniej z przedszkola i sadzała w foteliku na tylnym siedzeniu.

Opierałem się o ścianę i przykrywałem pod szyję kołdrą ubraną w chropowatą poszwę. Kanciasty telewizor stał w kącie pokoju. Właśnie po to przywoziła mnie tam w każdy wtorek.

Bajki.

Drzewa szumem błagały mnie, żebym przestał.

Różowy pies i dziadyga w okularach. Trzech kumpli z podwórka i odlotowa blondynka, w której się szczeniacko podkochiwali. Jakiś kretyn z laboratorium i jego głupia siostra. Czerwona, zielona i niebieska. Banda detektywów i ich gadający pies.

Szczeniacko się w niej podkochiwali.

Ten domek wciąż tam stoi. Ten domek wciąż tam stoi i jest ciemnobrązowy. Wtedy przywodził mi na myśl lepiankę, a papa, którą pokryty jest dach, przypominała bulgoczącą lawę, rozgrzewaną przez nachalne słońce będące wizytówką tamtych wakacyjnych dni.

Wtorek. Poszedłem przebrać kaptcie na buty, ale tym razem po mnie nie przyjechała. Pamiętam, że zostałem sam. Wszystkie dzieci poszły do domów, a ja zostałem sam. Zaczęło mi się robić niedobrze. Doskonale wiedziałem jak ułożyć te puzzle, ale wcale nie chciałem ich układać. Było mi wszystko jedno. Staralem się dopasować fragmenty tak, żeby pies jadł łopatę.

Drzewa szumem błagały mnie, żebym przestał.

Przyjechała spóźniona o godzinę i siedemnaście minut. Na polikach miała wypieki, a na czole kilka kropel potu. Był wtorek. Wróciłem do domu, usiadłem na narożniku i niewiele rozumiałem. Bardzo dużo pytań. Bardzo dużo.

Dostanę wszystko co zechcę – tak powiedziała. Chcę omleta czy może jajecznicę ze szczypiorkiem? Kanapka z pastą jajeczną czy z serem i pomidorem? Snickers czy Mars? W końcu nie wytrzymałem i zapytałem. A na koniec dodałem, że chcę bajki.

Miałem pięć, może sześć lat.

Co to, kurwa, obchodzi pięciolatka, że wujek jest zmęczony?

Wybrałem jajecznicę ze szczypiorkiem i kanapkę z serem i pomidorem. Nie miałem ochoty na słodcze. Wszedłem do swojego pokoju i przykryłem się kołdrą przesiąkniętą krochmalem. Śmierdziało. Miałem pięć, może sześć lat i byłem zły.

Otworzyłem oczy. Siedziałem na huśtawce, a drzewa szumem wybłagały mnie, żebym przestał.

Nie mam już pięciu, ani sześciu lat. Jestem zły. Wiem też, że wujek wcale nie był zmęczony. Teraz już to wiem.

Wiem dlaczego miała wypieki i krople potu na czole. Wiem, że wcale nie przebiegła maratonu.

Przekręciłem klucz w zamku i wszedłem do środka. Była trzecia w nocy. Zjadłem kanapkę z szynką i rzodkiewką. Oparłem się plecami o ścianę. Wyciągnąłem telefon i zobaczyłem dwie nieodczytane wiadomości sprzed paru godzin. Miałem ciężkie powieki i czułem mrowienie w skroniach. W pierwszej wiadomości zapytała, czy możemy się jutro spotkać. W drugiej ponowiła pytanie używając wykrzyknika.

Całe szczęście, że drzewa wybłagały mnie żebym przestał.

– Nie dam rady, jestem zmęczony.

Co to, kurwa, obchodzi pięciolatka, że wujek jest zmęczony?

Ten domek wciąż tam stoi. Ten domek wciąż tam stoi i jest ciemnobrązowy.

Szczeniacko się w niej podkochiwali.

Marcin Makowski

urodzony w 1984 roku w Olsztynie. Debiutował w 21. numerze „Portetu” opowiadaniem *Dzień Piękny*. Zwycięzca ogólnopolskiego Slamu Kulturkowego oraz laureat Rzeźni Literackiej w Olsztynie. Publikował w czasopismach: „Korespondencja z Ojcem”, „Akant”, „Variart”. Zawodowo pisze, głównie dobry kod.



To już drugi miesiąc i wciąż wyznaczamy granice

– To będą tematy, na które nie będziemy rozmawiać – mówi Weronika i rozwiesza arkusz białego papieru na ścianie pokoju. – Albo trudne tematy, takie niepewne grunty, rozumiesz?

Czerwonym markerem, to jest tym, który ma oznaczać absolutny zakaz, wypisuje słowa takie jak: dzieciństwo, rodzice, moje ciało.

Dalej pomarańczowym markerem, znaki ostrzegawcze: prowadzenie pod wpływem alkoholu, uszkodzenie ciała, inni mężczyźni. Mam wrażenie, że brakuje tu tylko paragrafów.

Kuca przysiadając na piętach i na zmianę czerwonym i pomarańczowym dopisuje kolejne słowa, coraz to mniejszymi literami. Niektórych liter nie jestem w stanie zupełnie rozczytać.

Pewnie dowiem się tego w swoim czasie, taki paragraf – niespodzianka.

– To ma znaczenie, rozumiesz? Przeszłość, wszystko się kojarzy i emocje, rozumiesz?

Kiwam głową, że tak, że rozumiem, przeszłość, że wszystko się kojarzy. Przecież nie chcemy niepotrzebnych skojarzeń, wspomnień z odległych czasów. Właśnie po to je zapisujemy teraz, żeby nie musieć o nich pamiętać. Będą sobie spokojnie czekać, gotowe do użycia w razie potrzeby.

Drugi arkusz, to ten na rzeczy, których nie będziemy robić razem. Trzeci to te, których nawet sam robić nie mogę. Czwarty – na to co muszę, potem dress code, później przestaję przyswajać i po prostu wychodzę zrobić sobie kawę. Gdy wracam wszystkie ściany zapisane. Pewnie to kiedyś przeczytam, tak jak Prousta albo encyklopedie Oksfordu.

Weronika zdmuchuje kosmyk włosów z przepoconego czoła, z dumą rozgląda się po pokoju i mówi:

– Mogłam rozwiesić te po poprzednim, ale rozumiesz.

Jasne, rozumiem. Zastanawiam się tylko, czy chodziło o tego, który dosypał jej czegoś do drinka, czy tego z tatuażem na dłoni. Kwestia rąk jest zresztą wyszczególniona

w zupełnie innym miejscu. Czytam, że muszę dokładnie golić całe dłonie i przedramiona.

- Bo wiesz, ojciec, całe takie miał włochate i jak przychodził wieczorami, to wiesz, rozumiesz?

Tak, rozumiem, nie przychodzić wieczorami. Wszystko jasne, czemu nie, myślę sobie obserwując, jak Weronika powoli zdejmuje z siebie kolejne części ubrania.

- Żeby nie było niejasności, to powinieneś robić to właśnie w takim tempie. Może być jeszcze wolniej, jeżeli chcesz, ale mi wystarczy tak.

Rozbiera się do końca i podaje mi niebieski marker. – Nie dam rady na plecach – tłumaczy.

Po kolei zaznaczam kręgami linię poniżej barków, środek pleców, drobne rejony. Weronika odwraca się i napinając fragmenty skóry nanosi jak chirurg następne demarkacje. Mówi, że jeżeli chodzi o nacisk, siłę, to wszystko mi to wytłumaczy, żeby nie było niejasności, już w trakcie, to jest między dwunastą a szesnastą, jak już zaczniemy. To najmiłsze godziny, wtedy mogę nawet dotykać rejonów pomalowanych na pomarańczowo.

Nie wolno mi też używać gum do żucia ani mocnych miętowych past do zębów. – Wiesz, Sebastian – tak, wiem, Sebastian. Miły facet, zawsze z odświeżaczem. Jemu zawdzięczam ręce pokreślone na czerwono. Imię Sebastian i parę innych widnieją oczywiście na liście tematów zakazanych.

Z ulgą odnotowują tam brak mojego.

Przez najbliższy tydzień oswajam się z każdą granicą. Pilnuję się w myślach, mowie, uczynkach i zanedbaniach. Dbam o moje happy hours przed szesnastą.

Jest coś ekscytującego w każdej barierze, której trzeba się pilnować, w skupieniu, jakie należy temu poświęcać.

Wszystkie arkusze i kolory znam na pamięć. Zielone i niebieskie możliwości w każdy sposób zostały już wykorzystane. Nie było zresztą tego zbyt wiele. Nie przestaję myśleć o reszcie, zwłaszcza o tej czerwonej, która rzuca mi się w oczy coraz częściej. Korci mnie, aby pozamieniać kolory, przepisać zupełnie na odwrót.

Na razie jednak skupiam się na pustym miejscu w rogu pokoju. Zawieszam tam niewielką kartkę i zaczynam zapisywać czarnym markerem: *większe piersi, uprawia seks oralny, nieuszkodzona*.

Większość to przymiotniki. Zastanawiam się nad tytułem tej listy. Jeszcze nie wiem do końca, ale to byłoby coś w stylu: *Odejdę, gdy spotkam kogoś kto...*

Tak, żeby nie było niejasności.

Edward Pasewicz

urodzony w 1971 roku, poeta, prozaik i kompozytor. Laureat VIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Bierezina (2000). Debiutował tomem wierszy *Dolna Wilda* (2001). Opublikował również *Wiersze dla Róży Filipowicz* (2004), *th* (2005). W 2007 roku został nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia za książkę *Henry Berryman Pięśni*. Jest również autorem kryminału *Śmierć w darkroomie* (2007). Ostatnio ukazał się tom jego wierszy *Drobne! Drobne!*, który nominowany był do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius 2009 w kategorii książka roku. Jest buddystą, uczniem Ole Nydahla. Mieszka w Poznaniu.



ZANIM ZNIKNIESZ

Nie jesteś Bogiem tak jak nie jestem nim ja, obaj nie wiemy, czy istnieje i jakie są konsekwencje; logiczne, moralne, społeczne i polityczne; zarówno: nieistnienia, jak i jego istnienia; pamiętam za to doskonale pieluchy pełne twojego gówna. To nie jest słaba metafora wbrew temu, co teraz sądzisz.

Pamiętam też niechęć na wieść o tym, że z plemnika i jaja przekształciłeś się w zarodek, poczęty zostałeś i wszyscy w knajpie zakrzyknęli ALLELUJA (osobliwie było przy tym trzech kleryków, z których dwaj to moi dalecy kuzyni). Piłem do rana, rzygałem do dziesiątej.

Moim zdaniem nie było tu boskiego pierwiastka, ty pewnie sądzisz inaczej. Dla mnie były to draperie, obrzydliwe tapety, zakurzony parapet i brudna, od dawna nieprana pościel, która doskonale korespondowała z pytaniami o to, czy to właściwy i bezpieczny dzień, by zrezygnować z gumy. Nic więcej mój drogi. Nic wyjątkowego.

Z twojego punktu widzenia zaczyna się wtedy czas, czas twojego istnienia, ja widzę zaś początek problemów. I to, że tobie dziś wydaje się, że jesteś oryginalny w czapeczce z daszkiem, szukający loszek i wciągający (mówiąc pieszczotliwie) mefedronik: to gówna prawda. Nic cię nie uchroni, nawet opowieści matki o tym, jak zerwałem wtedy wiązadełko i napletek, i „ileż to było krwi przy twoim poczęciu”. Może i było, ale skrzepla, skrzepliny wchłonęły się, a wydzieliny wraz z tobą, podczas porodu, wydzieliły się ostatecznie.

Jak wiesz, obaj jesteśmy aktorami. Ja z zawodu, ty z głupoty. Oczywiście, były momenty, kiedy cię lubiłem. Na przykład u Ciotki Heleny, kiedy pierwszy raz jechałeś tak szybko rowerem, że krzyczałeś z radości, a twój kuzyn Konrad wsadził kij w szprychy pierwszego koła. Mój drogi, piękniejszej kraksy nie widziałem od czasu własnych kraks na rowerach i motorach. Nie dość, że otarłeś twarz i miałeś przez miesiące piękne strupy, to jeszcze uderzyłeś kierownicą w pachwinę i wykwił ci tam ogromny, ale to ogromny jak na pięciolatka guz. Pełen żył, żyłastych włókien i przelewających się tajemniczych cieczy. Na dodatek miałeś złamany nos i rękę. Z tego nosa cieszyłem się najbardziej. W końcu prostacki nos, jakim obdarzyła cię matka, przekształcił się w mój — orli. Cieszę się, że ten garb, albo jak wolisz ciężkie złamanie, zachowa się nawet po

tym, kiedy ekshumują twoje zwłoki, by sprawdzić, czy zegarek, który nosiłeś, był podróbką czy też nie.

Nie opowiem ci, ile razy byłem dumny z twojego seplenienia i nieumiejętności gry w koszykówkę. Tyle razy siedziałem tam, w tej twojej oszroniałej od brudu podstawówce, czekając na ten moment, kiedy dostaniesz tą ciężką, czerwoną piłką w łeb i zemrzesz. A ja? Ja? Ja mógłbym odegrać wtedy epokową scenę. Czy ty zdajesz sobie sprawę, o czym pisałyby Fakt albo Super Express? Rzuciłbym się na twoje dogorywające ciało, cały w twojej krwi, moje najlepsze koszulki byłyby zbryzgane resztkami małego mózgu, który (jak pisałyby gazety — poważne i nie) nie zaznał ojcowskiej miłości i dumy w pełni. Pisaliby potem miesiącami o mojej depresji, aż ktoś wykryłby, że skrawek twojego mózgu wtopiłem w bursztyn i zaczęłaby się nagonka: prawdziwy ojciec vs barbarzyńca. Niestety żyjesz. Nie mam dostępu do ani grama twojego mózgu. Nic w nic nie mogę wtopić. Mogę pozbierać i wyprać twoje ospermione skarpetki i zastanowić się głęboko, dlaczego używasz ich jak chusteczek higienicznych? Poza tym, mój drogi (ale to już nadzwyczaj prywatnie), jak te skarpetki mają się do lektur, jak mówisz: Klasycy, Tato! Nietzsche, Kant i inni tacy? Oni też walili w pończochy? Kant nie miał problemów z czasem. Ty masz. W jednym się zgodzę, jako onanista Nietzsche bije cię na głowę, przegrywam także ja i biorę pod uwagę historię swojego chłopiństwa. Jesteś pod tym względem mistrzem Eckhartem i świętym Augustynem w jednym, jednak Fryderyk — szacun! Nie przebijesz go.

Gdzieś tam w ciemnościach jest publiczność. Teraz to raptem cztery osoby, ale za tydzień oczu śledzących moje usta, ruch dłoni i gesty będzie więcej. Za tydzień wszystko się zmieni. Jednorazowość jest wpisana w aktorski fach. Świdrujące spojrzenie Nahajowskiego ciągle jeszcze ukrywa się w ciemnościach, chociaż wiem, że patrzy. Co powie? Czy w ogóle się odezwie?

Czasem nie mówi nic przez kilka godzin prób i nagle, kiedy dopijasz pierwsze piwo w barze, dosiada się do ciebie i zaczyna mówić. Panie Nikodemie, rozumie pan, o czym jest ten tekst? Dlaczego ten facet nie znosi swojego gówniarza? Dlaczego nim gardzi?

Heterochromia iridis, tak nazywa się wada genetyczna, którą Nahajowski odziedziczył po ojcu albo matce. Wokół brązowej tęczęwki lewego oka ma wyraźną fioletową obwódkę, a źrenica prawego, szaro-zielona, upstrzona jest brązowymi plamkami. Panie

Nahajowski, rozumiem, rozumiem i to bardzo, mówię sobie w duchu, nie przerywając mu. Dopijam piwo w takt reżyserskiego monologu.

Od kilku tygodni mam ochotę przerwać mu, wziąć za kark, zaprowadzić na ul. Meiselsa 11 i zamknąć z moim synem na dobę. Posiedź sobie z nim tydzień, popatrz na niego, pogadaj z nim, o ile ci się uda.

Dopiero kilka dni temu przyszło mi do głowy, ażeby zapytać go o dzieci. Zosia, nasza zwalista bufetowa, która niegdyś miała na imię Tadeusz, powiedziała mi, żebym tego nie robił, bo to drażliwy temat. Jest przecież gejem — powiedziała, a ja prawie zakrztusiłem się kawą. Odkrywanie własnej ślepoty bywa niebezpieczne.

Kamil Marsyé, wbrew pozorom i nazwisku czystej krwi Polak, napisał „Pokoje” na zamówienie Nahajowskiego, a ten upatrzył sobie mnie jako głównego bohatera. Marsyé zawsze nienagannie ubrany i zawsze zbyt mocno pachnący pojawiał się na niemal wszystkich próbach. Dobrze się z nim pracuje. To rzetelny autor, a „Pokoje” jak na mój gust to jeden z lepszych dramatów napisanych ostatnio w tym ponurym kraju. Panie Kamilu — rzucałem ze sceny — to zdanie nie leży mi w gębie. To proszę je zmienić, albo pominąć, odpowiadał Marsyé swoim melodyjnym głosem, z obezwładniającym uśmiechem. Nie podejrzewałem Nahajowskiego o romans z Marsyé, ale po słowach bufetowej zacząłem mieć wątpliwości. Taki romans w ich przypadku miałby sens. I to sens artystyczny. Nahajowski jest w końcu piekielnie zdolnym reżyserem, a Marsyé świetnym dramatopisarzem. Piłem wódkę w naszym bufecie i obserwowałem ich, jak pracują nad tekstem. Ich dłonie wykonywały podobne gesty, w tym samym momencie przecierali twarz, tak samo odchylali się na krzesłach. Taki taniec.

Kiedy pierwszy raz czytałem „Pokoje”, miałem ochotę rzucić scenariuszem przez lewe ramię, zdeptać, opluć i wyjść z garderoby. Graliśmy wtedy Witkacego i miałem pół godziny do wyjścia na scenę. W „Niepodległości Trójkątów” nie gram trójkąta, gram niepodległość. Pierwsze strony „Pokojów” rozwścieczyły mnie, do tego stopnia, że przez chwilę, kiedy wbiegłem na scenę, oślepiiony reflektorami, stałem bezradny i gapiłem się na metafizyczne bydlę, Serafombyx, której mina wyrażała tylko jedno: „nie rób z tej sztuki czegoś gorszego, niż jest”. Nie pamiętam, co powiedziałem, ale po chwili drgnęło i dograliśmy to do końca. Kiedy wróciłem do garderoby, wyciągnąłem scenariusz z kosza, włożyłem do skórzanej torby, razem z butelką wódki i trzema paczkami papierosów.

Na Nahajowskiego natknąłem się w foyer, chwycił mnie swoim zwyczajem za łokieć i zapytał, czy czytałem. Nie drgnął mu żaden mięsień twarzy, kiedy usłyszał, że po pierwszych stronach rzuciłem scenariuszem. Uśmiechnął się dopiero, kiedy otworzyłem torbę i powiedziałem, że teraz „Pokoje” wędrują do mojego mieszkania w zacnym towarzystwie wódki i papierosów. Pan ma syna, prawda? Zapytał, kiedy ja wpatrywałem się w tłustą plamę na jego granatowej koszuli. A kiedy zaproponował, żebyśmy usiedli w bufecie i wypili wódeczkę, odetchnąłem z ulgą, bo wiedziałem, że nie będę musiał niczego o tobie mówić.

Nasza bufetowa mrozi zarówno wódkę, jak i kieliszki. Wódka jest gęsta jak kisiel, a kieliszki paradoksalnie parzą opuszki palców, to dokładnie tak, jak z pytaniami o ciebie, nie lubię odnosić się do twojego istnienia, chociaż to nieuniknione. Kiedyś, kiedy byłeś embrionem, niemowlakiem, pulchnym chłopczykiem, pięknym obszczymurkiem, jak pisze Marsyé, potrafiłem się do ciebie odnieść. Teraz to niemożliwe. Wypiliśmy kilka kieliszków, zgodziłem się zagrać, chociaż podskórnie wiedziałem, że akurat w „Pokojach” nie powinienem grać, nawet halabardnika.

Kiedy wracałem, siedziałeś przed domem ze swoimi compañeros, ich dziobate pyski przyprawiły mnie o takie mdłości, że spędziłem kilkanaście minut w łazience, rzygając jak kot na myśl, że te obute w glany, ubrane w moro, ogolone na łyso kukły to teraz najbliżsi ci ludzie. Kiedy wróciłeś, ja byłem w połowie butelki pod koniec trzeciego aktu, tuż przed ostatnim papierosem z pierwszej paczki. Jak zwykle bez słowa, wszedłeś do kuchni. Zrobiłeś kanapkę, z cebulą, jajkiem i przecierem pomidorowym, i zupełnie jak twoja matka, ułożyłeś ją troskliwie na talerzyku i zaniósłeś do pokoju. Patrzyłem na ciebie ze zdumieniem. Ale nie zauważyłeś tego. Generalnie nie zauważasz niczego poza sobą. Przez chwilę odniosłem wrażenie, że twoje żyły to plastikowe rurki, kości to pogięte pręty z cyny i ołowiu, a twarz to byle jak wykonana wenecka maska, upiorna biel i koronki wokół niej.

Już po pierwszym czytaniu Nahajowski zorientował się, że coś iskrzy między mną a tekstem. „Pan to jakby zjada i wypluwa po swojemu” powiedział, a mnie ta metafora wcale nie wydała się zręczna. Przypomniałem sobie, jak wyglądają pomidory, kiedy zapomni się zerwać je ze szerniałego krzaka, gdzieś w okolicach połowy listopada a może nawet początków grudnia, pęknięte, wybrzuszone, zepsute „coś”, wystawione na

słońce, jakby chciało zezreć resztki światła. Tak, to ja byłem tym miąższem utleniającym się szybciej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Marsyś często pojawiał się w knajpie pod nazwą Miejsce, na ulicy Estery 1. Krakowscy artyści mieli słabość do tego baru. Pojawiali się tam w ilościach hurtowych. Swego czasu pojawiałeś się tam i ty, synku, i nie miałem ci tego za złe, chociaż prosiłeś barmanów, czy ledwo znających mnie ludzi, o dyskrecję. Nie zachowywali jej. Poznałem wszystkie twoje przelotne gejowskie miłości. Błdych i niedożywionych brunecików o wzroście srającego psa, do których masz najwyraźniej słabość pomimo swojego wzrostu, daleko przekraczającego metr siedemdziesiąt. Przepraszam, napisałem, że „masz” słabość, powinienem napisać „miałeś”.

Zresztą przed godziną byłem w Miejscu, a teraz siedzę w garderobie i staram się zachować spokój. Marsyś przyniósł mi koniak i jego gorzkawy palący smak przeplata się ze wspomnieniami o Tobie (chyba już czas użyć tej wielkiej litery). Kiedy miałeś piętnaście lat spacerowaliśmy, i gdzieś w okolicy bramy Floriańskiej spostrzegłem, jak gapisz się na niektórych chłopców. Nie, nie poczułem się z tym źle, wręcz przeciwnie, ubawiło mnie to, pomyślałem nawet o tym, ileż czeka mnie aktorskiej i ojcowskiej radochy związanej z twoim przyznawaniem się do seksualnej orientacji. Więcej, wprawiło mnie to w doskonały nastrój, bowiem grałem wtedy w okropnym sztuczyle, którego tytułu teraz już nie pamiętam (nie, to nie nadużywanie koniaku), gdzie główny bohater był gejem, a ja, jako jego przyjaciel, krok po kroku akceptowałem jego „inność”. Było to złe do zrzygania, zresztą zdjęli to po kilku przedstawieniach.

Nigdy zapewne nie zrozumiesz, jak wspaniale poczułem się, widząc twojego pierwszego „poważnego” faceta. Co prawda wytrzymałicie ze sobą tylko pół roku, ale jak na siedemnastolatków to i tak sporo.

Długo nie zwracałem uwagi na twoje poglądy polityczne. Jestem zwierzęciem o instynkcie raczej estetycznym niż politycznym. Właśnie zauważyłem, że oba kubki, które stoją przed moim lustrem są nadtłuczone w ten sam sposób. Znaki? Dla niektórych to nie ma znaczenia, ale ja powoli zaczynam dostrzegać sensory tam, gdzie wcześniej ich nie widziałem. Twoje buty. Najpierw trampki, vansy, nike. Później faza elegantszych fasonów (nagle zaczęłeś nosić koszule i marynarki), dbałość o fryzurę i ledwo kielkujący zarost.

Rozmawiałem o tym z twoją matką. Wtedy nie niepokoiły mnie szare smugi na jej policzkach i obrznięte powieki. Na swój sposób byłem zakochany w tobie i wraz z twoją matką chichotaliśmy, kiedy poważnym tonem (roztaczając niemiłosiernie ogórkowo-pieprzową woń Acqua Di Gio) oświadczałeś, że idziesz do swoich koleżanek na imprezę. Kiedy dochodziły nas echa twoich kroków na schodach, wybuchaliśmy już niepowstrzymanym śmiechem.

Wiedziałem, że twój chłopak ma na imię Jakub i daleko mu do jakiegokolwiek koleżanki. Kiedy zobaczyłem go pierwszy raz na żywo, gdy wczesnym popołudniem, któregoś ponurego dnia, piłem kawę, znając już diagnozę lekarzy dotyczącą twojej matki, pomyślałem, że masz całkiem niezły gust. Tamtego dnia była to jedyna dobra rzecz, jaką mogłem pomyśleć.

Jestem mięszem zważonych przez mróz pomidorów — coś takiego mówię w „Pokojach”. Czy się utożsamiam? Sam nie wiem. Jak wiesz doskonale, przecucie, że nie powinienem grać w tej sztuce, było zasadne i prawdziwe. Tego nie możesz widzieć, ale opiszę ci to. Otóż, ten wywalony na zewnątrz, wrażliwy miąższ, patrzy na kubki, które za chwilę całkiem się rozpadną i patrzy też na rysę, która (jeszcze niewielka) powoli zaczyna niszczyć lustro. Tak, patrzę też na wszystkie przedmioty, zapalniczki, papierosy, fiołki z miksturami, kremami, fluidami. To prawda, że państwo jest bezduszne. I przeciwko tej bezduszności pierwszy raz się zbuntowałeś. Nie refunduje się niektórych terapii i walenie w pomalowane ciemnozieloną olejną farbą ściany hospicjum nic nie mogło pomóc. Nie tylko ty wyłeś w tamtym ciasnym, mrocznym kiblu.

Myślałem, że głuchy pogłos zasuwanej nagrobnej płyty zbliży nas do siebie, ale się myliłem. To także był listopad i to, że zapomniałem o szerniałych krzaczkach pomidorków Chicco Rosso było naturalne, jak pleśń pokrywająca ich łodygi. Nie potrafiłem z tobą rozmawiać.

Pamiętasz znaki? Zostawiałem w kuchni paczkę papierosów. Myślałem, że zrozumiesz, że chciałbym przy rozżarzoną pecie ocieplić nasze stosunki. Nigdy nie tknąłeś tych fajek. Zdychały na tym szaroburym blacie, pozbawione dotyku ciepłych palców i jeszcze cieplejszych warg.

Twoje towarzystwo też zaczęło się zmieniać. Pierwszy zniknął Jakub. Kilka tygodni wcześniej pierwszy raz piłem z nim kawę w kuchni i obaj dość nerwowo paliliśmy. Sytuacja była niezręczna. Pojawiłem się w domu, zanim wyszliście. Gadka, typowa, jak to

przy papierosie. Nic szczególnego. Jego podkrążone oczy i niespokojne spojrzenia, jak w przypadku twojej matki, nie zwróciły początkowo mojej uwagi. Później skojarzyłem fakty. Bywasz okrutny, jak ja, chociaż mszczenie się na Jakubie nie miało najmniejszego sensu. To nie on był winien bezduszności systemu.

Pamiętam doskonale jeden ostatnich wieczorów, kiedy go widziałem. Był absolutnie absurdalny. Wypiliśmy z Nahajowskim kilka wódeczek w teatrze, potem poszliśmy do Miejsca. Po drodze, na placu Nowym, jakiś potwornie wychudzony typ o wielkich i wyrazistych oczach położył mi dłoń na ramieniu i całkiem poważnie zapytał: „czy jest pan Polakiem?”. Nie czekał nawet na odpowiedź, nie zdążyliśmy parsknąć śmiechem, zniknął, ale jego spojrzenie zasiało w mnie niepokój, którego nie potrafiłem w żaden sposób opisać. Czar wódeczek prysł i w knajpie siedzieliśmy, słuchając wynurzeń jakiegoś malarza, którego twarzy ani nazwiska nie zapamiętałem. Dosiadł się do nas całkiem spontanicznie, sądząc pewnie, że pożądamy takich barwnych towarzyszy jak on. Zaproponowałem Nahajowskiemu, że pójdziemy do mnie, mieszkam przecież blisko. Myślałem, że nikogo nie będzie w domu, a przecieranie zakurzonych listew żaluzji i wgapienie się w wieżę kościoła na ul. Bożego Ciała zupełnie mi się nie uśmiechało.

Kiedy wdrapaliśmy się na trzecie piętro i otworzyłem drzwi, zobaczyłem, że siedzicie tam z Jakubem. Nie było wyjścia. Nahajowski postawił butelkę wódką na stole, ja nawet nie pytałem czy chcecie się z nami napić. Jego oczy, nie mogę sobie teraz przypomnieć, jakiego były koloru, były wielkie i błyszczące. Powinienem pamiętać ich kolor, słyszałem swego czasu na zjazdach rodzinnych z doskonałej fotograficznej pamięci. Za to pamiętam jego mocne białe zęby, które odsłaniał, kiedy się uśmiechał, jakby chcąc podkreślić, że jest młody, silny, zdrowy i pełen życia. Szare, miał szare oczy.

Musiałem spojrzeć na rysę w lustrze a później na kubek, żeby znowu odtworzyć w pamięci jego spojrzenie. Po wypiciu drinków i zdawkowych rozmowach umknęliście gdzieś

w ciemności miasta. Umknął też Nahajowski i zostałem z brudnym zakurzonym parapetem, doniczkami z zaschłymi wiechciami bazylii i mięty. Obudziłem się około czwartej rano. Przez dobrą godzinę leżałem w pościeli, patrząc tępo w sufit. Usiłowałem zrozumieć co takiego mówi mi sen, w którym pisałem książkę. Była wielkości sporej kamienicy i kiedy stawiałem kropkę po ostatnim zdaniu, rozpadała się, a ja przez chwilę

unosilem się jeszcze w powietrzu, a potem leciałem w dół. Nie rozumiałem tego snu zupełnie.

Nie było cię jeszcze w domu, ale nie przeszkadzało mi to, nie czekałem na ciebie z kazaniem i śniadaniem, po prostu ubrałem się i poszedłem nad Wisłę, bulwarami pod Wawel i w końcu na Planty. To tam, przy pomniku Boya-Żeleńskiego, zobaczyłem Jakuba, który nie tyle płakał, ile zanosił się od spazmów. Ty siedziałeś obojętnie obok niego. Do dziś nie mam pojęcia czy widziałeś mnie wtedy, czy też nie?

Marsyć, kiedy zapytałem go, dlaczego napisał „Pokoje”, powiedział, że to prawie autentyczna historia. Też mi pojęcie „prawie autentyczna”. Siedzieliśmy w oparach kadzidła w knajpie Eszeweria na ul. Józefa, on sączył kawę, ja koniak. Mój Ojciec chciał mnie zabić, powiedział. Twarz Marsyć zazwyczaj nie wyraża nic, za to oczy, oczy są jak czujne surykatki, wiecznie rozglądające się wokół norki, gotowe w każdej chwili skryć się za ciężkimi powiekami i długimi gęstymi rzęsami — wtedy spojrzął na mnie i powiedział: chciał zajebać mnie siekierą, bo nakrył mnie z facetem w łóżku. I uciekliście? No jak widać, Marsyć uśmiechnął się lekko.

Ale w sztuce, czego nie wiesz drogi synku, bo nie czytałeś jej ani siłą rzeczy nie byłeś na spektaklu, on ginie. Nie wiem, co mnie naszło, ale postanowiłem tamtego popołudnia pobawić się w psychoanalizę. Skoro gram twojego Ojca, to muszę wiedzieć, czy naprawdę chciał ciebie zabić, myślę, że dla roli to istotne. Marsyć milczał chwilę, wyjął wargi i powiedział, że przypuszcza, że w pierwszym odruchu tak. To było małe miasteczko na Podlasiu, właściwie wioska, biegł za tym facetem przez miasto i przez las, prawie wypłuli płuca, ale ze strachu nie zatrzymywali się, chociaż Marsyć, zdawał sobie sprawę

z tego, że Ojciec nie mógł go tak długo gonić. I co dalej? Powiedział, że przyjechał do Krakowa i zatrzymał się u ciotki. Z Ojcem nigdy więcej się nie spotkał. Ale w sztuce wracasz do domu i mam wrażenie, że doskonale wiesz, że on cię zamknie w pokoju i będzie godzinami dręczył. Marsyć uśmiechnął się i powiedział, że jego Ojciec na pewno by tak zrobił. „Lubił się nade mną znęcać, na różne zresztą sposoby, ale to był zwykły, tępy chłop, nie tak jak w sztuce wyrefinowany intelektualista, dyskutujący z synem o transcendencji”.

Zaśmiał się wtedy, a ja pomyślałem, że bardzo zręcznie leczy swoje kompleksy. Jego maniery, dystynkcja, nienaganne ubranie, wszystko to wywodzi się z pól lasów, moczarów i kartoflisk błotnistego Podlasia. Zaimponował mi.

Wieczorem po próbie zagadałem Nahajowskiego. Spytałem o to, czy znał wcześniej Marsyé, skąd on się wziął. Moje pytania musiały brzmieć nieporadnie, a zainteresowanie osobą autora wzbudziło czujność Nahajowskiego, bowiem od razu zabrał mnie do bufetu (trzymając za łokieć) i zanim zdążyłem wziąć pierwszy łyk piwa, usłyszałem: a co ty się tak nim interesujesz? Powiedziałem, że nie musi być zazdrosny.

Okazało się, że zrobił mnie w Eszewerii w bambuko. Był synem profesora romanistyki na UJ, specjalisty od Moliera i Racine'a. Zapytałem Nahajowskiego, po co w takim układzie Marsyé opowiedział mi całą tę łzawą historyjkę? Jest pisarzem, oni są od tego, żeby ładnie kłamać. Błyszczące oczy i promienny uśmiech przywitały mnie w foyer teatru następnego dnia, Marsyé był szalenie uprzejmy i nieco zbyt tryumfujący. Nie pytałem go już o nic i być może w całej tej historii o to mu chodziło. Ale współpracowało się nam nieźle.

Różne sztuki mają różne kolory, to taka moja prywatna fobia. „Pokoje” miały kolor gencjany, płomyka gazowego, czegoś ulotnego, co zabija niepostrzeżenie. Moja niechęć do ciebie rozkwitała. Miałem wrażenie, że jestem dokładnie tak samo jak ty okrutny i głupi, bowiem odziedzyczyłeś to po mnie. Okropne uczucie, kiedy pomyśli się o tym dziedziczeniu, o tej obrzydliwej, pojawiającej się z wiekiem, wyłaniającej się spod topniejącego śniegu mumii twojego Ojca.

Ten łańcuch upiorów ciągnie się od pokoleń, pewnie od tego straszliwego, pierwszego Ojca, który nie mógł mieć nawet twarzy, bowiem musiał być zwierzęciem, pełnym agresji i chęci mordy.

Pierwszy raz zauważyłem to, kiedy przyglądałem się twojemu dziadkowi. Oglądaliśmy spokojnie jakiś film, twoja matka i babka robiły kolację, ty spałeś. A ja zobaczyłem jego kości policzkowe, układ ust i wąski nos, spojrzał na mnie i zobaczyłem samego siebie, tyle że starszego o kilkanaście lat. Zrobiło mi się niedobrze. Siedział tam, władca pilota, meblościanki, foteli i barku z dobrymi alkoholami. Powiedziałem, że muszę iść na balkon, żeby zapalić. Skinął głową, nie spojrzawszy nawet na mnie. Papieros mnie jednak nie uspokoił, widziałem go w sinym świetle telewizora. Ta twarz, w której z powodu wąskich, pozbawionych właściwie warg ust i haczykowatego nosa,

i migdałowatych oczu, i cienkich brwi czai się jakaś nieładzka niechęć, to była moja twarz. Chociaż wystarczyła zmiana oświetlenia, a to upiorne wrażenie zniknęło. Rzuciłem peta przez balkon, żarzył się jeszcze i powoli opadał w ciemność, aż rozbił się na asfalcie, rozbłysnął i ostatecznie zgasł.

Kiedy wróciłem do pokoju, poczułem, że coś się wyzwoliło, śmierdziało pierwotną surowizną, jakimś zwierzęciem, które przyczało się w kącie pokoju i zaczęło dyrygować życiem. Brzmi to skomplikowanie, ale to uczucie nie powinno być ci obce. Rozmawiałem o tym z Marsyć, miałem złe sny przez jego sztukę. Śnił mi się ten goryłowaty, pierwszy Ojciec, jeszcze owłosiony, którego mutacja genetyczna przeskoczyła na syna i musiał patrzeć swoim zwierzęcym, bezmiernie tęnym wzrokiem na bezwłose stworzenie, które było jego dzieckiem. Marsyć stwierdził, że scena byłaby interesująca, w każdym razie w filmie fantasy albo dokumencie o teorii wodnej małpy. Patrzył na mnie bez uśmiechu, sącząc jakiś brązowy alkohol, którego nie potrafiłem rozpoznać po zapachu.

Jest teraz marzec, fragment o dziadku pisałem w grudniu. Przez moment wyglądało na to, że zima odpuści i nie będzie żadnego śniegu. Kiedy wczoraj wróciłem do domu, zaczęła się całonocna śnieżycą. Rano, kiedy wyszedłem, Kraków był otulony bielą, ale tylko przez kilka chwil. Około południa, kiedy mijałem cię na Plantach tuż przy Filharmonii, wszystko było już ciemnoszarą chlapą. Jeden z twoich łysych kumpli wskazał na mnie, a ty nie obracając się wzruszyłeś ramionami. Spojrzałem na przemarznięte badyle, za którymi rysowała się twoja postać i zacząłem zastanawiać się, czy ten sztylecik, który tak chętnie zanurzasz w mojej piersi rzeczywiście mi się nie należy?

Nie mogę znieść twoich nowych poglądów i twojego towarzystwa. Nie wiedziałem, że wrażliwy gej może skończyć jako otumaniony nacjonalizmem wielbiciel „Myśli nowoczesnego Polaka”. Docierało do mnie powoli, bardzo powoli, w jakim kierunku zmierzasz. Marsyć chciał nawet napisać sztukę. To w końcu w dzisiejszej zbrunatniałej Polsce taki świetny, chodliwy temat. Poprosiłem, by tego nie robił.

Jak wiesz albo i nie wiesz, „Pokoje” sprzedają się świetnie. Dwa, trzy razy w tygodniu, zabijam cię, dosypując do kolacji trucizny. Zanim zgasną światła i rozlegną się oklaski, patrzę z czystą niewyrażoną przyjemnością, jak w konwulsjach oddajesz ostatnie tchnienie. Potem wracam do garderoby i zanim zejść pić z Nahajowskim i innymi

wódkę, chwilę kontempluję rysę na lustrze, która sięga już prawie połowy. Co się stanie, kiedy je przetnie?

Na początku czerwca mijało sześć lat od śmierci twojej matki. Nie poszedłem na cmentarz, zresztą rzadko tam chodzę. Za to wypilem po drinku we wszystkich naszych ulubionych miejscach. Wtedy w Miejscu spotkałem podnieconego Nahajowskiego, który prawie

z pianą na ustach opowiadał o skandalu wokół spektaklu „Golgota Picnic”. Wszystko widziałem i słyszałem. Powiedziałem, że wezmę udział w czytaniu tej sztuki, chociaż zupełnie nie miałem pojęcia, o co tyle szumu. Sztuka była słaba, jedynym wartościowym elementem był koncert fortepianowy Haydna, a że pianista świecił gołym dupskiem, mnie to akurat nie przeszkadzało.

Patrzyłem na drgające kąciki ust Nahajowskiego i w dusznym czerwcowym powietrzu ich drganie bawiło mnie bardziej niż jego wyrafinowany monolog o wolności słowa. Kiedy poszedł, pozostawiając za sobą zapach pomarańczowej wody kolońskiej, której zawsze nadużywał, wyszedłem na papierosa. Usiadłem jak zwykle na ławeczce przed knajpą

i kiedy między mną a zaparkowanymi samochodami przeciskała się kolejna hiszpańska wycieczka, przypomniałem sobie, jak lata temu, sturlałeś się ze skarpy do rzeki. Przestraszyłem się wtedy i zanim zdążyłeś zachłysnąć się stęchlą wiślaną wodą, już trzymałem cię w objęciach.

Patrzyłem na rozklepane buty, jakiegoś obywatela Murcji albo Barcelony, lat mniej więcej dwadzieścia, i zapytałem sam siebie, czy nie lepiej byłoby wtedy, nad rzeką, pozwolić ci miękko opaść pomiędzy wodorosty, stare opony, omszałe butelki? Czy nie lepiej byłoby, gdyby nad twoimi niebieskimi źrenicami pojawił się cień pływaka żółtobrzezka? Czy nie lepiej byłoby, gdyby obok twoich przegniłych warg ulepił swoje gniazdo samczyk ciernika? Kiedy wypuszczałem z ust dym, miałem wrażenie, że o twojej dziecięcej śmierci i moim własnym świętym spokoju dzisiaj mógłbym napisać metafizyczny poemat w stylu, powiedzmy, szekspirowskim.

Jak wiesz, miewam dość często takie nastroje, szczególnie wtedy, kiedy pożerany przez własną wrażliwość piję od południa, piwo z piwem, piwo za piwem, a potem płaczę się między ulicami i upadam.

Nahajowski miał rację, mówiąc mi po premierze spektaklu, że powinienem nabrać większego dystansu do synobójstwa. Powiedział: Nikoś, wyglądasz momentami, jakbyś chciał rzeczywiście to zrobić. Zapytałem go, czy zdaje sobie sprawę z tego, że podejrzewam, że Marsyé napisał tę sztukę, wiedząc, jakie mam kłopoty z tobą, jaki jest mój stosunek do ciebie, a w końcu jak bardzo (ostatecznie muszę to napisać) pragnę twojego nieistnienia. Oczywiście, że nie sformułowałem tego tak, jak tutaj. Zapytałem go, przemieniając wypowiedź w żarcik. Roześmiał się szeroko, ukazując garnitur żółtawych końskich zębów i powiedział, że to jednak niemożliwe.

Ten śmiech słyszałem, gapiąc się bezmyślnie na przechodzących turystów i wypuszczając powoli dym z ust. Wtedy zobaczyłem Jakuba, który przechodził po drugiej stronie ulicy. Miał szarą cerę, zupełnie jak twoja matka na chwilę przed wyrokiem. Nie wiem, co za idiotyczny impuls kazał mi za nim pójść. Zdążyłem tylko zabrać marynarkę i rzucić barmanowi, że wrócę za chwilę. Nie było problemu. W tym lokalu jestem jeszcze jednym z mebli.

Dostrzegłem go na ulicy Miodowej i zachowując dystans szedłem za nim. Wyraźnie widziałem jego szerokie plecy i wystające łopatki. Szara koszulka lepiała mu się do ciała. Im dłużej szedłem za nim, tym bardziej czułem się zażenowany sytuacją. Miałem wrażenie, że każdy, kto mnie mijał, spoglądał na mnie i wiedział, że śledzę, nie wiadomo po co, byłego chłopaka swojego syna. Jaskrawe słońce i roślinny zaduch na Plantach potęgował jeszcze to wrażenie.

Ale najgorsze zdarzyło się, kiedy nagle bez jakiegokolwiek ostrzeżenia Jakub usiadł na ławeczce przy fontannach, a ja musiałem przejść obok niego. Teatralnie zwolniłem krok, przetarłem twarz dłonią. Spojrzał wtedy na mnie i uśmiechnął się, mówiąc głośno: dzień dobry, panie Nikodemie. Musiałem przystanąć. Spocony, ze zdrewniałymi od wstydu wargami, usiadłem obok i zapytałem, co słysząc, wyciągając jednocześnie papierosa z paczki, częstując go i rejestrując czarnego pudła, który przebiegł slalomem między spacerującymi. Small talk trwał piętnaście minut.

Ani razu nie zapytał o ciebie. Okazało się, że chodzi do „Lart studio”. Kiedy wymienił nazwę, w głowie zadźwięczał mi ich slogan reklamowy: „sześćset zdobytych indeksów, najlepsza kadra”. Prawda była taka, że na ulicy Brzozowej 6 mieściła się świetna firma, która kosiła dobre pieniądze od naiwnych i zapatrzonych w siebie dzieciaków. Pomyślałem, że nie powiem mu, iż nie wie, co czyni, wybierając ten zawód.

Jakiś samobójczy impuls kazał mi w pewnym momencie zapytać go, czy nie napije się ze mną piwa. Zgodził się bez wahania. Miałem wrażenie, że tylko czekał na propozycję. Był rzeczywiście przystojny. Grzywka opadała na wysokie czoło, dotykając szerokich brwi, pod którymi mieściły się duże błękitne oczy. Nos miał wąski, lekko zakrzywiony i wypielęgowane dłonie, na co szczególnie zwróciłem uwagę. Wróciliśmy na Kazimierz.

Nie wiem, ile wypiliśmy, ale sporo. Najgorsze było to, że zupełnie nie pamiętałem rozmowy. Nie wiedziałem, co robiłem, gdzie byliśmy. Z pustki wyłaniały się strzępy obrazów. Wydawało mi się, że dołączył do nas Marsyć. Jeden z obrazów to wędrówka na Podgórze. Potem mieszkanie Marsyć na Józefińskiej. Ale kto mnie odprowadził do mieszkania? Kto położył spać? Kto postawił butelkę mineralnej wody przy łóżku? Sprawdziłem telefon. Żadnych podejrzanych rozmów. Nie zamawiałem taksówki. Żadnych nowych numerów. Czysta pijacka tajemnica. Leżałem w łóżku, gapiąc się w sufit. Próbowałem jakoś objąć rozumem pustkę tamtego dnia. Pomyślałem, że stało się coś złego i to dlatego nic nie pamiętam. Nieprzyjemny wstrząs ciała zmusił mnie do wstania z łóżka. Jeśli myślisz, że gdzieś w mieszkaniu spotkałem Jakuba i w pijackim amoku przeleciałem twojego byłego chłopaka, to się mylisz, synku. Nic z tych rzeczy. Było o wiele gorzej, bo pospolicie i zwyczajnie. Stary facet musiał z siebie zrobić błazna. Patrzyłem

w lustro i nie mogłem siebie znieść. Nie pamiętam już, jaki był powód twojej nieobecności w domu. Wyjechałeś gdzieś?

Siedzę teraz przy biurku, piszę to i nie mogę sobie przypomnieć. Nie, nie może za ten brak pamięci odpowiadać przegrzany autobus, którym tu przyjechałem ani rozmokły śnieg, ani wilgotne ściany w hotelowym pokoju. Sztukę gramy dopiero o dwudziestej. Po co więc przyjechałem do Zakopanego przed południem?

Mam takie dziury w pamięci od jakiegoś czasu, od tego momentu przed teatrem, kiedy czytaliśmy „Golgota picnic”.

Tłum klęczących ludzi, różańce, wzywianie świętych aniołów, by rozgromiły hordy szatana. Jedna z kobiet robiła zdjęcia. Podeszła do mnie i zapytała, jakiej jestem narodowości. Jej tępe spojrzenie wywołało we mnie fale złości i nienawiści, w jednym momencie wyobraziłem sobie, że tłukę jej głową o bruk, a jej tępy religijny mózg rozpryskuje się wokoło. Musiałem nabrać powietrza. Powiedziałem jej, żeby nie robiła mi zdjęć. I wtedy, wtedy zza jej pleców, w śmiesznym faszystowskim mundurku,

trzymając flagę ONR-u pojawiłeś się ty i z zimnym uśmiechem na twarzy, głośno i wyraźnie powiedziałaś: cześć, tato. I ta durna baba, w kapocie z wizerunkiem ukoronowanego Chrystusa, trzymająca w łapskach aparat fotograficzny z ogromnym nieomal fallicznym obiektywem wycelowanym we mnie, ta, której życzyłem wszystkiego najgorszego, powiedziała do mnie: pan nawet nie wie, jak dobrze wychował syna. Odwróciła się, a ja zacisnąłem zęby, odwróciłem się i wszedłem do budynku. Nie wiem, jak długo stałeś tam z tą śmieszną flagą.

Czytanie było nudne, tak jak nudne były modlitwy protestujących. Żaden z Archaniołów nie pojawił się przed teatrem i żadna z szatańskich, lewackich, gejowskich czy też bezbożnych głów nie poleciała na bruk, wbrew chęciom pań namiętnie odmawiających różaniec.

Wymknąłem się z teatru w połowie bankietu, nie poszedłem do domu, tylko kręciłem się po Kazimierzu. Nie mogłem zdecydować się, w której z knajp posiedzieć. Domu się bałem. Pomyślałem, że nie zniosę twojego widoku. Miałem zamiar zadzwonić i poprosić, żebyś natychmiast się wyniósł. Żebyś zamieszkał ze swoimi znajomymi. Żebyś trzymał się ode mnie z daleka. Ale nie zadzwoniłem. Kiedy wróciłem, już albo jeszcze cię nie było. To wzajemne unikanie się stało się naszą tradycją. Powiesiłem na drzwiach lodówki harmonogram prób, wiedziałaś mniej więcej, kiedy mogę wrócić do domu i zniknąć. Kilka razy widziałem ciebie i twoich kompanów, podczas manifestacji. Wasze flagi nadal przyprawiają mnie o mdłości. Zabawnie jest jednak słuchać waszego skandowania. Twoje wargi doprawdy uroczo układają się w fałdkę, kiedy wrzeszczysz „zakaz pedałowania”.

Gramy „Pokoje” w Teatrze Witkacego. Jest dość zimno, ale nie ma za wiele śniegu. Chodzę po Zakopanem i rozmyślam o tym, jak cię uśmiercić. Jesteś teraz wysokim i przystojnym oraz silnym mężczyzną. Kiedy kilka miesięcy temu wyjechałeś, ulżyło mi. Widok twojego pustego pokoju wprowadził mnie w radosne drżenie, że oto problem rozwiązał się sam. Tak tego wieczoru siedziałem w Miejscu i czekałem na jakąś tragiczną wiadomość. A to telefon z policji, że znaleziono twoje zwłoki, bo był wypadek autokaru: i proszę pana, niestety nikt nie ocalał. To była prawdziwa obsesja. Nigdy się nie doczekałem. Dostałem tylko wiadomość, że widywano cię w Zakopanem, Nowym Targu i z rzadka w Krakowie.

Zacząłem planować zbrodnię doskonałą. Jak wymazać cię z mojej pamięci, z życia. Przekopałem wszystkie możliwe albumy, zebrałem wszystkie możliwe zdjęcia. Wydrukowałem je i zrobiłem kolaż. Spory kwadrat, na którym pyszniłeś się we wszystkich możliwych wcieleniach, od niemowlęcia po faszystę z ONR. Marsyś, który zobaczył całą tę instalację, pewnego dnia, kiedy to niby przypadkiem wpadł do mnie z buteleczką ginu, powiedział, że załatwi mi dobrego psychoanalityka. Całkiem za darmo. Powiedziałem mu, że poradzę sobie sam. Ten piękny kwadrat zataszczyłem na Zakrzówek i tam 21 lipca, pijąc wódkę i mamrocząc przekleństwa, spaliłem to wszystko. Długo siedziałem, gapiąc się w tłący się popiół. Czekałem na jakiś znak. Nad ranem zrobiło się chłodno i lekki deszcz przepłoszył mnie ostatecznie. Wracając do domu myślałem, czy już przekroczyłem granicę, czy też dopiero nieśmiało ją badam. Naprawdę wierzyłem, że to spalenie coś da. Ale nic się nie zmieniło. Nic. Dalej widywano cię tu czy tam.

Rzadko mi się śnisz. Jeśli już, to jako ktoś bez twarzy. Doskonale wiem, że to ty. Przed przyjazdem do Zakopanego sen był wyrazistszy niż inne. Sędziowie, w klasycznych garniturach, jak jeden mąż podobni do Gabriela Narutowicza, nie chcieli mnie skazać. Tłumaczyłem im, że zabiłem pięć osób, matkę, ciebie, babcię i dziadka, a jest prawdopodobne, że odpowiadam za szereg innych morderstw. Ale oni upierali się, że to niemożliwe. Jeden z nich zaprowadził mnie nad jezioro. Ogromne molo, zabudowane, które w zasadzie było miasteczkiem, wbijało się nieomal do połowy jeziora. Wyraźnie słyszałem cykady. To nie działo się w Polsce, raczej gdzieś w Stanach Zjednoczonych. Prowadził mnie przez szereg sal, pokojów, aż na samym końcu, wprowadził mnie do ciasnego pokoju, w którym było tylko łóżko, mały stolik i taboret. Kiedy wyszedł, położyłem się na łóżku, a ono zaczęło powoli opadać w zimną toń jeziora. Obudziłem się spocony i przerażony.

Krążyłem chwilę po mieście. Jakoś tydzień wcześniej dostałem wiadomość, że widziano cię w Zakopanem. Chciałem cię tam dopaść. Ale nie udało się. Pomimo krążenia, pomimo tego, że sam sobie wydawałem się sforą tropiących cię psów. Poszedłem do teatru, jak zwykle zagrałem swoją rolę. Otrułem syna, wygłaszając wcześniej monologi o Bogu, historii, literaturze i sztuce. Kiedy tak mówiłem w ciemność ostatnie słowa, poczułem nieomal fizycznie, że jesteś gdzieś w pobliżu. Moje komórki nieomal zawibrowały i kiedy tylko spektakl się skończył, wyleciałem do foyer, bo ubzdurałem sobie, że tam będziesz.

Jak wyobrażałem sobie tę scenę? Wbiegłbym tam, roztracając ludzi. W ostatniej chwili złapałbym cię za kaptur kurtki i silnym ruchem powalił na ziemię i... i nie wiem, co dalej.

W rzeczywistości wszedłem normalnym krokiem, przecisnąłem się przez tłum i wyszedłem przed budynek. Ale nikogo chociażby podobnego do ciebie nie było. Wyszedłem bez kurtki, więc to rozglądanie się trwało tylko kilka chwil. Wróciłem do Krakowa z gorączką, a następnego dnia nie mogłem zwlec się z łóżka. Miałem okropne dreszcze. Nie byłem w stanie podnieść do ucha telefonu, ledwo żyłem.

Poprawiło mi się dopiero późnym wieczorem. Ale nie wyszedłem do nocnej apteki po leki, tylko trząsałem się pod kołdrą. Rano siedziałem przy kawie. Jej zapach trochę mi pomagał, rozgrzewała. Czułem się beznadziejnie. Skonfliktowany z tobą, bez żony, może nie tyle wypalony zawodowo, ile znużony teatrem i życiem okołoteatralnym. Nawet codzienne wizyty w Miejscu przynosiły tylko kolejne rozgoryczenia.

Siedziałem tam i rozpamiętywałem te chwile, kiedy powoli docierała do mnie twoja przemiana. Pierwsze książki i broszurki. Początkowo olewałem to, myślałem, że zbierasz je i czytasz, by później na spotkaniach z kolegami szydzić z prawicowego bełkotu. Do głowy by mi nie przyszło, że możesz traktować to poważnie. Dopiero tatuaż, który zrobiłeś sobie na ramieniu, a który przedstawiał il Duce Benito Mussoliniego, zszokował mnie zupełnie.

Nigdy nie darzyłeś mnie jakąś szczególną sympatią, ale od śmierci matki czułem już tylko twoją wrogość. Zimne spojrzenia, brak jakichkolwiek czułych gestów. W końcu aroganckie teksty, kiedy uświadomiłeś mi, że jestem zgniłym liberalnym kmiotem, którego wy, narodowa młodzież, jeśli tylko nadarzy się taka okazja, powiesicie na pierwszej z brzegu latarni.

Aż nadszedł ten wieczór, kiedy wpadłeś do Miejsca, wraz ze swoimi łysymi kolegami. Siedziałem jak zwykle przy barze, sączyłem piwo i prowadziłem zdawkowe rozmowy ze znajomymi. Wpadliście do Miejsca w piątkę. Ubrani w mundury. Wrzeszczałeś „pedały do gazu”. A wszyscy moi znajomi patrzyli na mnie. Nie, ich wzrok nie był utkwiony w twoją wykrzywioną z nienawiści twarz. Nie. Oni patrzyli na mnie. Dopiero po sekundzie zorientowałeś się, że tam siedzę. Nie wiem, czy coś drgnęło w tobie, ale dałeś im sygnał i wyszliście. Znajomy dziennikarz westchnął i powiedział coś w rodzaju, że tym razem obyło się bez mordobicia. Ale po chwili dodał „czy to przypadkiem nie był...”

Tak, to był mój syn, powiedziałem. Nikt do końca wieczoru nie wspominał o tym incydencie.

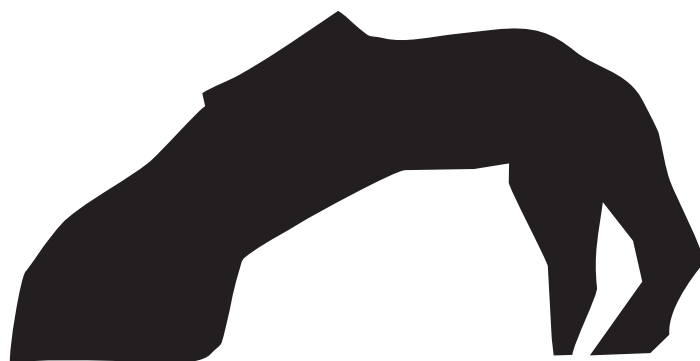
Jakoś przez tę gorączkę i przeziębienie wszystko to wróciło do mnie. Wypiłem kawę, a mimo to wpadłem w jakiś apatyczny pół sen. Usłyszałem wtedy, jak wchodzisz do mieszkania. Nie wiem, dlaczego nie zmieniłem kluczy? Spojrzałem na ciebie, ale nie mogłem się ruszyć. Byłem potwornie zmęczony i bezsilny. Powiedziałaś coś w rodzaju: ja tylko po resztę rzeczy. I poszedłeś do swojego pokoju.

W całej tej malignie wydawało mi się, że ktoś jeszcze z tobą jest i pomyślałem, że dobrze by było, gdyby to był Jakub a nie któryś z twoich kolegów z ONR. Ale raczej pewien jestem, że to byli oni. Jakub był tylko snem. Chwilowym. Kiedy wydobrałem, stwierdziłem, że muszę cię dorwać. Zacząłem jeździć po miastach, jeśli tylko dochodziły mnie słuchy a awanturach z ONR w tle, jechałem tam.

Marsyć napisał nową sztukę. I ta w przeciwieństwie do „Pokojów” jest o tobie. I w tej sztuce, która jeszcze nie ma tytułu, robię to, co robię w rzeczywistości. Pierwszy monolog wygłaszam w zupełnej ciemności. Najpierw, powoli z szeptu wyłania się coś w rodzaju mantry, szepczę: Eligiusz Niewiadomski, Roman Dmowski, Benito Mussolini, Wielka Polska Narodowa i tak w kółko. Ale kończy się w pełnym świetle. Opieram się o stół i wrzeszczę: Rozglądam się, czaję. Wiem, że jesteś gdzieś w pobliżu. Ostatnio poprawił mi się węch. Czuję cię na odległość. Właściwie, tak, mogę to powiedzieć, to jest rodzaj polowania. Przyjechałem tutaj, żeby cię dopaść. Trzymam nóż w kieszeni i krążę. Ale ty synku też jesteś cwany. Masz to po mnie. Wiesz doskonale, że gdybyś wyszedł mi naprzeciw, któryś z nas musiałby zniknąć ostatecznie. I dlatego, gadam do ciebie, żebyś mnie usłyszał, zanim znikniesz.

Aleksy Poklękowski

urodzony w 1998 roku w Gdańsku. Student filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Publikował na internetowym portalu Szum Świata. Mieszka w Pelplinie.



Pogrzeb

Najgorszy śpiew w historii. Brzmiała tak, jak mógłby brzmieć wokalista AC/DC, gdyby przed koncertem dostał dziesięć kopnięć w jaja. Janice z Przyjaciół to przy niej Céline Dion.

A przez to, że kapliczka była niewielka, to jazgot odbijał się od ścian i wracał do nas z wielokrotnionym echem. Tylko czekałem, aż dziadek stwierdzi, że jednak pierdoli ten pogrzeb i zacznie błagać, aby go jak najszybciej wyciągnięto z trumny.

– Pamiętam, jak mój wujek wrzeszczał, kiedy się walnął siekierą w stopę. Ile bym dał, żeby to teraz słyszeć. – Szeptał ojciec pochylony nad moim uchem, ale ja go wtedy nie słyszałem, kozi śpiew zagłuszał wszystko.

– Dla jego bolesnej męki, dla naszej bolesnej męki, miej miłosierdzie dla nas i spraw, abyśmy ogłuchli!

I wtedy stał się cud. Wszedł ksiądz do kapliczki, rozejrzał się, wzrokiem bez wyrazu spojrzął na bohaterkę pogrzebu.

– Dość. – Powiedział po prostu i od razu zamilkła. Prawie się nawróciłem jak to zobaczyłem.

Wikary odetchnął głośno z wyraźną ulgą. Poczciwa kobieta już dawno odebrała mu przywództwo w prowadzeniu nabożeństwa. Teraz władzę przejął ksiądz, wszystko wróciło więc do właściwego porządku. Wikary ulotnił się dyskretnie, modląc się w duchu o przydzielenie do innej parafii.

Babcia-wdowa poinformuje mnie potem, że to miejscowa wariatka, parę lat temu straciła męża, córkę i wnuka w wypadku samochodowym. Od tego czasu uczęszcza na wszystkie pogrzeby w swojej parafii. Urocze.

Dlaczego babcia-wdowa? Bo na pogrzebie pojawiła się moja druga babcia, matka ojca, oficjalnie w ramach wsparcia, nieoficjalnie z powodu okropnej nudy, jaka jej doskwiera. A pogrzeb to zawsze jakaś rozrywka, te wszystkie emocje. Potem jeszcze stypa w greckiej restauracji. Warto tu dodać, że dziadek miał tyle wspólnego z Grecją, co ta smutna knajpka. Naprawdę niewiele.

– I jak się trzymasz, Paweł? – spytała babcia (znaczy się też jest wdową, ale to było tak dawno, że każdy się już przyzwyczył).

– Właściwie to całkiem dobrze. – I nie skłamałem. Dziwna sprawa, dziadek nie był chyba złym człowiekiem, ale mimo to był żegnany w dość chłodnej atmosferze. Albo może mi się tak tylko zdawało, przez to, że było tak syberyjsko, białe, piekielnie zimno.

Wychodziliśmy już z kaplicy. Babcia-nie wdowa (a jednak wdowa) złapała w rozmowę jakąś losową starszą panią. Mógłbym teraz dołączyć do reszty rodziny, ale zostałem z tyłu. Widziałem tylko mamę i babcie-wdowę. Mama miała pusty wyraz twarzy, babcia zaś wyglądała, jakby była czymś zniecierpliwiona.

Cmentarz znajdował się niedaleko kościoła, na niewielkim wzniesieniu pośrodku pola, otoczony nielicznymi drzewami. Padał śnieg, przykrywał sosny i świerki, tuż za cmentarzem dzieci zjeżdżały z górki na sankach. Tymczasem nasz wesoły, wigilijny kondukt zaczął się powoli wspinać pod górkę. Ktoś obok mnie, pod wpływem nastroju, zaintonował pod nosem „Pójdźmy wszyscy do stajenki”, zaraz jednak umilkł. Zadumałem się głęboko, odpowiednio do sytuacji, jak wypadało.

Co? Co to? Dotarliśmy już na sam szczyt tej górki urokliwej! Śnieg przestał prószyć, w powietrzu unosiła się delikatna, biała mgiełka, mieszająca się z naszymi zimnymi oddechami. Wdech, wydech, żyję. A wokół rozpościera się widok, że na chwilę jednak brakuje wdechu, że na chwilę życie się zawiesza. Biel, nieskazitelna biel pól aż po horyzont, i tylko gdzieniegdzie drzewko wystaje, i tylko gdzieniegdzie dym z komina. I kościół, z szarej cegły, z czerwonymi witrażami, świecącymi w tym białym mroku niczym oczy albinosa.

A więc dotarliśmy na szczyt (tej górki urokliwej!), do grobu dziadka. Przyłączyłem się do reszty rodziny. Już ksiądz miał zacząć przemawiać (chciał się streszczać, nie pamiętał takiego mrozu), kiedy to ktoś pierwszy spojrzał na nagrobek. A tam tabliczka, z imieniem i nazwiskiem – PADLINIEC. A dziadek był Kalwiniec, to znaczy katolik, ale z domu Kalwiniec. Zauważył to też wujek, głowa rodziny Kalwinców, i parsknął krótkim śmiechem. Zauważyła też babcia-wdowa, i kiedy wujek zauważył jej zauważenie, to przybrał minę groźną i ruszył w kierunku grabarzy. Ale zaraz zatrzymał go śmiech babci-wdowy i on sam się uśmiechnął, i zaczął się śmiać, rechotać, ryczeć. I tak się już rozniósł, za świętym przyzwoleniem rodziny, ten ryk. I ja się uśmiechnąłem, zaśmiałem, zarechotałem, zaryczałem, zawyłem.

Anna Wieser

urodzona 12.03.1981 roku w Elblągu, studiowała integrację europejską na Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, filologię polską oraz filmoznawstwo na Uniwersytecie Gdańskim. Autorka tomu wierszy Delta (WBPiCAK, Poznań 2009), Mosty (WBPiCAK, Poznań 2019) oraz audiobooka Elephant WoMan, (audiobiblioteka nr 2, „Bliza”, Gdynia 2010).



Mrówki

Pierwsze mieszkanie, chińskie zupki polskim wrzątkiem zalewane życie na materacu. Sto kilo cekolu na dzień przed ślubem, piękne mam dłonie, nie ma co, weszła obrączka i jakoś poszło.

Przeszczep i Bajpas, sąsiedzi z góry, z odwieczną batalią, który ma gorzej. Matka wariatki i jej rzucane mimochodem sentencje, nie odbiegające od wikicytatów klasków filozofii: Wiesz, dziecko, najgorsza w życiu jest samotność.

Ciężkie siatki z dyskontów.

Kobiety rodzą. Rurki windi, piersi można wyżywać jak ścierkę, do ostatniej kropli. Oni idą, one zostają na wachcie dnia i warcie nocy. Teraz już przecież inaczej, on idzie z dziećmi do kina, mam czas dla siebie, chałupę ogarnę. Jeszcze tylko pranie. Wciąż tyle brudów, tyle brudów. Tylko nie przy dziecku.

Miłości dodaj mi skrzydeł bym mogła być aniołem. Cierpliwości, to minie, wszystko mija albo samo mija. Miłość nie zazdrości, nie unosi się pychą, wszystkiemu wierzy, wszystko przetrzyma. Byłbym niczym. Tak ją kochałem przecież, zdzira jedna, kurwa, całe miasto wiedziało. Głupi jestem, w miłość wierzyłem. Ojciec, proszę pani, w tym kraju nie ma szans.

Mieszkamy razem, mieszkamy osobno, dziecko potrzebuje, dziecko śpi. Dziecko nie śpi, czuwa.

Od dziecka prawda płynie na szeleszczące liście. O czym liście szeleszczą? Idą, idą mrówki a każda coś niesie. Piesek umiera, chomik i kot. Babcia umiera, mama umiera w tacie, tata w mamie umiera i mrówka zgnieciona pod palcem. To nie boli. Brzuch boli tylko trochę, trochę tylko przestaje. Mam nową konsolę i przychodzą do mnie dzieci na granie. Nagranie ma takie dziadek, słyhać było: „Zimna wojna”. Co to jest wojna, co to? Byliśmy kiedyś na Westerplatte, byliśmy tam na schodach, tyle schodów było, że już iść nie szło.

Nie zamykaj drzwi, tam też będę chciał odkurzyć. Wszystko wsysa odkurzacz do liści. Najlepszy. Jesień już Panie, opłaca się. Zima zaskoczy kierowców i szyby skrobać będą do krwi, śnieg spadnie, przykryje. Chroń dziecko przed zimnem, balsamuj je, kołysz na linii życia i tul.

КРУТУКА

Andrzej Graul

podchodzi z Gdyni, studiuje filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Publikowany m.in. w „biBLiotece” Biura Literackiego, „8. Arkuszu Odry”, „Stonerze Polskim”, „Niecodzienniku Towarzyskim” i w „3Miesięczniku”. Wyróżniony w Konkursie im. Tymoteusza Karpowicza na najlepszą recenzję literacką. Oprócz poezji współczesnej interesuje się antropologią, geopolityką i wpływem najnowszych technologii na stosunki społeczne.



TOPOGRAFIA HAŁDY

Być może niesprawiedliwe i nadgorliwe jest szufladkowanie jakiegoś autora już na wstępie, jednak z Jakubem Pszoniakiem nie powinno stanowić to problemu. W wywiadach poeta otwarcie przyznaje się do postawy bliskiej twórcom zaangażowanym, jak również wydające go wrocławskie „Biuro Literackie” znane jest z akcji promujących fenomen poezji interesującej się wprowadzaniem do wiersza refleksji społeczno-politycznych i doraźnym komentowaniem otaczającej nas rzeczywistości. Jak zobaczymy w poniższym szkicu, rozwiązania poetyckie Pszoniaka wprowadzają do rozpoznanej już, zaangażowanej myśli nową poetycką świeżość, sprawiając, że debiutancki tom „Chyba na pewno” jest ciekawą pozycją na półkach poezji współczesnej, z którą trzeba się zapoznać i do której warto wracać.

Pszoniak zaczyna książkę rozpalającą ciekawość obrazową zapowiedzią, korzystającą z charakterystycznej dla całego tomu paronomazji, figury zestawiającej ze sobą podobnie brzmiące słowa, wyciągające gdzieś z głębi ukryte znaczenia, dawne a wspólne sensy:

świta świat
światło tli tlen
nic
nie noc
nie dzień
dnij się dnij
przedzimie

Na poziomie formalnym poeta w trakcie całego tomu chętnie eksperymentuje właśnie ze współbrzmieniem, z tym jak słowa wchodzą ze sobą w interakcję i tworzą intrygującą grę znaczeń i dźwięków. Nie jest to jednak tylko pusty, estetyczny zabieg – „Chyba na pewno” tworzy własny świat, a Pszoniak jest przewodnikiem po brudnym, zapomnianym przez Boga mieście, tłoczonym od pogłosów i fonii budujących wzrastające napięcie, pełnym hałasu i dymu, pełnym społecznej niesprawiedliwości. Poeta konstruuje topografię miejsca brzydkiego, tworzącego pejzaż przemysłowego spadku po gwałcie na naturze. Konstruowane obrazy wchodzą w wyraźną relację z dźwiękami – wizualna szpetność kopalnianego miasta idzie w parze z ogłuszającym warkotem i szcękaniem mechanizmów tworzących zarówno samą aglomerację, jak i przestrzeń językową wiersza:

deszczy się miasto
szczycą wieżowce
tłuszcz uszczelnia
szczeliny w asfalcie

lux e Silesia

żyw żar – niech zre żwir
rodź dym kurz durś duś dech
grzej zziębłosine dzielnice
w których zgasła dawna chuć hut

ulica wytrwałych

Dzięki temu świat przedstawiony ma wyraźne kontury i tętni życiem – używane przez poetę środki wprawiają w ruch liryczną maszynę, która zdaje się rwać i orać język, wyciągając grudy oraz przesiewając urobek podobny sobie, słowa złączone wspólnym spoiwem, słowa powtarzane. W ten sposób Pszoniak wyciąga na wierzch brudy współczesnej rzeczywistości – wiersze będące komentarzem współczesnych wydarzeń, refleksje często zakopane głęboko w społecznej świadomości, wyrzucone do śmieci; treści doraźne, więc pozornie łatwo zużywalne, do niedawna błędnie uważane za niewarte poetyckiej refleksji:

bóg zza Buga palcem kraja kraje
patriarcha Cyryl kanonizuje bombę jądrową
rakiety Buk – wszechruscy archanieli –
chrzczą ogniem krwią i ołowiem
skraje Świętej Rusi

russia today

płyną
morze głów
ocean rąk

2,1 miliarda osób nie ma dostępu do wody pitnej
przeciętny Afgańczyk zużywa 10 litrów wody
dziennie
przeciętna pojemność spłuczki w Polsce wynosi 7,5
litra

źródło

W swoim zaangażowaniu poeta przypomina nam, że tematem wiersza może być nie tylko wsobne przeżywanie, metafizyczna medytacja, czy lingwistyczna, artystyczna wołtyżerka, dążąca do pełnego wykorzystania możliwości tkwiących w języku. Poezja przede wszystkim powinna pamiętać o świecie, w którym istnieje, który pozwala jej wybrzmiewać. Powinna dawać głos tym, którzy nie mogą się wyrazić: spychanym na marginesy, ignorowanym w dyskursie popularnym, zagłuszonym przez rynkowe środki masowego przychodu.

Następnie Pszoniak wyprowadza nas w miejsce pełniące funkcję groźnej nekropolii. Tytuły wierszy złożone są z dat i dopisków, strofy jak epitafia przedstawiają świadectwa gwałtownej śmierci. Każdy utwór jest niewielkim pomnikiem, wystawionym ku pamięci ofiar niesprawiedliwości i zorganizowanego przymusu państwa lub idei; mamy tu okaleczonego, a potem spalonego na sejmowym stosie ateistę Kazimierza Łyszczyńskiego, jest rozstrzelany w lesie przez bolszewików Antoni Wołowski, zmarły w 2017 roku w wyniku samobójczego podpalenia Jan Palach, wspomnienie w ostatniej chwili uratowanego od egzekucji Fiodora Dostojewskiego. Jednakże, jak to na grobowisku bywa, niektóre daty i nekrologi trudne są do odczytania, każą przysiąść i zadumać się nad nimi na dłuższą chwilę.

Wyznaczona frazą trasa przez nekropolię wiedzie do ponurej i opustoszałej świątyni, centrum zarządzania ideą, zimnej hodowli doktryn i dogmatów. Wiersze *trójbój rytualny* i *rzeź Boże* korzystają z rejestru językowego często przerabianego przez poetykę „poezji zaangażowanej” – sacrum, dyskursu religijnych symboli i rytuałów. Przybierając szaty duchowieństwa poezja zaangażowana posługuje się przeciwstawieniem i kontrastowością, często podkreślając swój sprzeciw wobec opresyjnego i fałszywego języka religii. Pszoniak odrobił tę lekcję, da się tutaj wyczuć wyraźny wpływ Tomasza Bąka, który w konsekwentny i twórczy sposób posługiwał się tym materiałem, podejmując poetycką interwencję w zastanym układzie. Również głos Pszoniaka wybrzmiewa z donośną siłą, mrocznym pogłosem:

rzeź Boże – rwij wers
chrzcij chrzest łamanych słów

rzeź Boże – żyźń strach
głusz krzyk żarzącego się krzewu

rzeź Boże – krzew krzyż
karm nieczyste przypadki

kto jest bez winy
pierwszy niech żuje kamienie

rzeź Boże

Poeta posiłkuje się jeszcze jednym materiałem religijnej proveniencji – cała wycieczka po wyklętym mieście-hałdzie, zapomnianych kopalniach, skupie złomu i cementarzu prowadzi nas do miejsca, z którego widać, co tak naprawdę znajduje się na krańcu zadymionego horyzontu. A tam koniec wszystkiego, koniec świata, Apokalipsa. Poetyka Pszoniaka, pełna brudnej beznadziei, ale i zaangażowanej niezgody, ma posmak niepokojącego, jeżącego włosy przekazu – ludzkość zmierza na skraj, nasze działania prowadzą nas do nieuchronnej zguby.

To kolejna ciekawa, dystynktywna cecha języka poezji zaangażowanej – nie ignoruje i nie poddaje w wątpliwość znaczenia antropocenu, epoki, podczas której człowiek odcisnął tak silne piętno na środowisku, że cały system, cała homeostaza Ziemi zostaje chorobliwie zaburzona. Ta poezja interweniuje, używa zdecydowanych środków, by uwydatnić ważny przekaz – kopujemy sobie grób, to przez człowieka dobiega końca się czas ludzkości. Świat przedstawiony w wierszach Pszoniaka wchłaniany jest przez kopalnie, zatruty oparami fabryk, rozjeżdżany gąsienicami maszyn.

Poeta zauważa hipokryzję myślenia antropocentrycznego, kojarzącego rzeczywistość bezpośrednio z człowiekiem, stawiającego nas w centrum wszystkiego. Tymczasem świat istniał i będzie istnieć bez nas; nasza przygodność jest oczywista, a czas ograniczony.

śmierć nie dzieli się na sylaby
śmierć się zamyka w polskich diakrytach
wycieram
to będzie jakiś czas a potem
zajdzie a potem
wzędzie a potem
ziemia znów się obróci

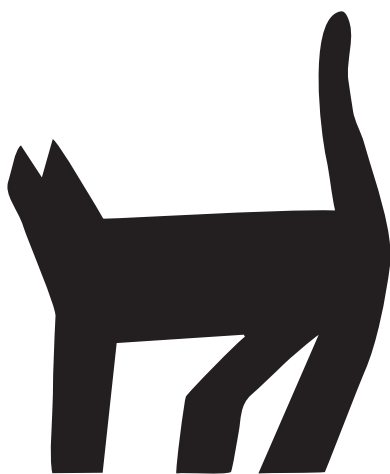
latawiec

Ziemia wciąż się będzie obracać, to człowieka po prostu już na niej nie będzie. Śmierć jest tematem dominującym ostatnie utwory „Chyba na pewno”; krótki wiersz *oddział paliatywny* podsumowuje sytuację krótko, brutalnym *coup de grace*: „umrzyj”. Pszoniak przeprowadził nas przez klejące się i oblepione sadzą miasto, wiózł rozklekotanymi, puszczającymi iskry tramwajami, pokazał opuszczone wśród grobów świątynie. Cała ta podróż na szczyt rytualnego stosu pojedynczych sukcesów dwudziestopierwszowiecznego człowieka: hałdę węgla. Nasze prawdziwe, czarne złoto. Bryłka węgla widnieje na okładce tomu, to tu, z samego wierzchołka, rozpościera się widok na zbliżający się koniec.

Czy nastąpi krach, czy zapadnie się ludzkość zlepiona pyłem wiszącym w powietrzu, czy nie ma już drogi ratunku? Być może odpowiedź znajduje się w tytule tomu: „Chyba na pewno”.

Magdalena Górka

urodzona w 1999 roku, studentka II roku filologii polskiej, związana z Pomorzem Zachodnim.



O współczesnym Syzyfie słów kilka

Początkowo warto zastanowić się nad ogólnym zdefiniowaniem literatury powszechnej, co źródłowo oznaczałoby literaturę „dotyczącą wszystkich, zawsze”. Marian Szyrocki w monografii twórczości ukazuje takie stanowisko Goethego:

„Nie jest ona dla niego sumą literatur narodowych, lecz estetyczno-humanistyczną jakością, zbiorem najlepszych utworów różnych narodów, utworów, które wyróżniają się głębokim humanizmem estetycznymi walorami oraz wpływają na literatury narodowe¹.”

Goethe stosował pojęcie Weltliteratur w trzech znaczeniach: po pierwsze były to wszelkie formy mediacji pomiędzy literaturami rozmaitych narodów, po drugie sposoby osiągnięcia wiedzy, zrozumienia, akceptacji i „umiłowania” literatur innych narodów, po trzecie ściśle związana z dziejami jego własnych tekstów tłumaczonych, omawianych i funkcjonujących w innych niż rodzimy kręgach kulturowych².

Przechodząc zaś do przekładu, można zacząć od tego, że „począwszy od lat siedemdziesiątych XX wieku, nauka o przekładzie zaczęła zdobywać sobie samodzielną pozycję, często podważając status komparatystyki; przykładem takiej postawy jest działalność francuskiego translatologa André Lefevere’a i brytyjskiej znawczyni przekładu Susan Bassnett [...]. Amerykańska badaczka Emily Apter naukę o przekładzie nazwała „nową komparatystyką”³.

„Tłumaczy należy uważać za gorliwych stręczycieli, którzy na pół przysłoniętą piękność zachwalają nam jako najbardziej godną pożądaną: wzbudzają tym tylko nieodparte pragnienia ujżenia oryginału”⁴.

Cytat ten mógłby wskazywać na to, że rola przekładu nie jest rzeczą istotną, ponieważ tylko znajomość oryginału ma znaczenie, co jest potwierdzeniem perspektywy komparatystycznej, jednak patrząc na wypowiedź Goethego w kontekście Weltliteratur, okazuje się, że przekład pełni bardzo ważną funkcję.

Jeżeli połączyć te dwa zjawiska, a mianowicie literaturę powszechną i przekład, trzeba zwrócić uwagę na proces rewriting, „ponownego pisania”, co proponował André Lefevere. Składają się na niego „oprócz tłumaczeń, wszelkie formy krytyki literackiej, opisu

¹ M. Szyrocki, *Johann Wolfgang Goethe*, Warszawa 1981, s. 245.

² M. Skwara, *Stara i nowa komparatystyka literacka*, [w:] *Komparatystyka dla humanistów*, red. M. Dąbrowski, Warszawa 2011, s. 145.

³ Tamże, s. 176–177.

⁴ J. W. Goethe, *Refleksje i maksymy*, przeł. J. Prokopiuk, Warszawa 1977, s. 240.

historycznoliterackiego oraz układania rozmaitych antologii, wyznaczające strategie definiowania tego, co obce (w czasie i przestrzeni) kulturze przyjmującej”⁵. Oznacza to, że liczy się nie tylko przekład, ale i zapewnienie funkcjonowania, „życie po życiu”.

W artykule *Utracony czas stracony* Marka Bieńczyka poruszona zostaje kwestia, czy warto na nowo przekładać klasykę. Autor nawiązuje do książki Jerzego Jarniewicza *Tłumacz między innymi*, w której tytułowy bohater jest porównywany do Syzyfa: „Każdy przekład jest przekładem częściowym, należącym do całości, której nigdy nie osiągniemy, nieroszczącym pretensji do wyłączności. Przekład w swojej istocie [...] zaprasza do kontrprzekładu, który zawsze jest dialogiem”⁶.

Bardzo ciekawym przykładem jest tłumaczenie *Rękopisu znalezionego w Saragossie*, ponieważ autor nie doprowadził do wydania ostatecznej wersji swojego dzieła pisanego w języku francuskim. Na skutek starań syna w 1847 roku w Lipsku ukazał się polski przekład Edmunda Chojeckiego. Mniemano, że tłumacz posiadał ostateczną redakcję tekstu, która zaginęła po przełożeniu. Okazało się, że Chojecki nie miał pełnej wersji, nie zrozumiał kolejności etapów powstawania powieści lub nie dokonałwyboru między dwiema zupełnie różnymi wersjami i tak właśnie przełożył sześćdziesiąt sześć dni, kiedy to ostateczna wersja liczy ich sześćdziesiąt jeden. Taka wersja stała się podstawą wydania francuskiego z 1989 roku, a ponieważ brakowało rękopisów, przełożono brakujące fragmenty z polskiego na francuski, co jest nie do przyjęcia z filologicznego punktu widzenia. Tak właśnie przekład Chojeckiego stał się dziedzictwem kulturowym, ponieważ istniał w świadomości kulturowej od połowy XIX wieku i tutaj pojawia się pewien problem, a mianowicie, czy nowy przekład byłby w pewnym sensie „zamachem” na tradycję? Powinien być traktowany jako wzbogacenie, ale kiedy funkcjonował tak wiele lat, mogłoby to być trudne w recepcji. Tak właśnie w 2015 roku pojawiło się nowe tłumaczenie Anny Wasilewskiej⁷.

Nawiązując do przekładu tak zwanej „klasyki”, którego to pojęcia używa się często w różnych znaczeniach, warto podkreślić kanon, a mianowicie, najprościej rzecz ujmując, zbiór dzieł, o których wiedza jest, a przynajmniej powinna być, rzeczą powszechną. Współcześnie w Polsce, co warto zaznaczyć, znajomość kanonu nie jest rzeczą tak znaczącą, jak w XIX wieku, kiedy stanowiło to o znajdowaniu się w gronie elit. Literatura kanoniczna lub inaczej klasyczna, to narzędzie ułatwiające osiągnięcie celów wszelkiego rodzaju – patriotycznych, moralnych, religijnych. Obecnie mówi się o procesie upadku tych wartości, a co za tym idzie – pomniejszenia znaczeniu kanonu. Upowszechniła się literatura popularna, wszelkiego rodzaju kryminały,

⁵ M. Skwara, dz. cyt., s. 186.

⁶ M. Bieńczyk, *Utracony czas stracony*, „Książki” 2018, nr 4, s. 23.

⁷ F. Rosset, D. Triaire, *Wstęp*, [w:] J. Potocki, *Rękopis znaleziony w Saragossie*, Kraków 2015.

powieści sensacyjne i tym podobne. To wszystko wynika także z przekładu, a mianowicie tego, że klasyki literatury polskiej nie pojawiają się w nowych wydaniach, o czym pisze wspomniany wcześniej Jerzy Jarniewicz w książce *Tłumacz między innymi*:

Tak kategorycznie zabraniająca współczesniać, przekładać na nasze, fetyszyzacja literatury skazuje tę ostatnią na nieobecność. Jesteśmy chyba jedynym krajem w Europie, w którego księgarniach nie można kupić największych dzieł narodowej literatury⁸.

Porównuje swoje obserwacje dotyczące obecności klasyków narodowych w księgarniach w Polsce z księgarniami w Wielkiej Brytanii. Mówi, że „jeśli zamykamy nasze arcydzieła przed kulturą popularną, rychnujemy tymże arcydziełom zgon”⁹. Podaje tutaj przykład uwspółcześniania przekładów kanonicznych, na przykład Laviny Greenlaw, która usunęła archaizmy, nie tylko językowe, ale także kulturowe, z poematu *Troilus i Criseyda* Chaucera, co nazwała „twórczą rekonstrukcją”¹⁰. Jest to w Polsce zjawiskiem niewyobrażalnym, powodującym oburzenie, ponieważ w świadomości kanon jest istnym sacrum, rzeczą nienaruszalną. „Kanon dopóty jest kanonem, dopóki pozostaje otwarty i niedokończony. Dopóki prowokuje i doprasza się rewizji. Kanon zamknięty, który omija współczesność, to narodowy grobowiec. Dzieła kanoniczne muszą wdzierać się na teren literatury współczesnej i tam się zadomawiać; muszą też pozwolić się zamieszkiwać dziełom powstającym dzisiaj”¹¹.

Poruszona została kwestia uwspółcześniania kanonu narodowego, warto do tego dodać, jaka jest rola tłumacza w przekładzie obcym, a mianowicie: Owo nigdy do końca nieprzezwyciężone „z zewnątrz” może być i często bywa naszym atutem. Z korzyścią dla nas, dla kultury naszego języka, jak i dla kultury języka, z którego przekładamy, przychodząc bowiem z zewnątrz, możemy tę kulturę jeśli nie wzbogacać, to odświeżać, odczytując inaczej nawet jej najbardziej kanoniczne teksty. To „z zewnątrz” może także prowadzić na manowce. Świadomość, że przychodzimy spoza kultury, nie jest uczuciem komfortowym: przypomina nam, że nie wszystko jest takie, jak nam się wydaje. Przypomina nam o naszej odpowiedzialności nie tylko za to, jak, ale i co tłumaczymy¹².

⁸ J. Jarniewicz, *Tłumacz między innymi*, Wrocław 2018, s. 71.

⁹ Tamże, s. 72

¹⁰ Tamże, s. 70.

¹¹ Tamże, s. 71–72.

¹² Tamże, s. 143–144.

Warto poruszyć także współczesną sprawę związaną z wydawcami i tłumaczami. W wywiadzie z Milicą Markić, serbską tłumaczką m.in. Olgi Tokarczuk, Miłosz Waligórski zadał pytanie o serbski rynek książki i rolę tłumacza, na co jego rozmówczynie odpowiedziała:

[...] Natomiast jeśli chodzi o rolę tłumacza, owszem, jest coraz większa. Nie istnieją już wydawnictwa państwowe z rozbudowanymi działami promocji, a wydawnictwa prywatne często gonią za grantami i z grantów żyją, więc bywa tak, że coś wychodzi, ale nikt nie dba o promocję. [...] Dlatego cała robota spada na tłumacza, on ma „robić szum”. Ja staram się udostępniać książkę krytykom, dziennikarzom pisarzom i tzw. influencerom¹³.

Chociaż było to pytanie o serbski rynek książki, nie oznacza to, że w Polsce nie jest podobnie, ponieważ zmieniło się znaczenie książki, wzrosła jej cena, co łączy się z brakiem funduszy na promocję. W wywiadzie z Antonią Lloyd-Jones, inną tłumaczką Olgi Tokarczuk, Natalia Szostak nawiązując do innego wywiadu, którego tłumaczka udzieliła, zapytała o „swój moment polskiej literatury w Wielkiej Brytanii”, na co uzyskała następującą odpowiedź:

Brytyjczycy mają teraz szansę odkryć polską literaturę, która ma dużo do zaoferowania. Tak na to patrzę. Pracujemy nad zmianą mentalności, nad tym, żeby ludzie mieli świadomość tego, że obok książek napisanych po angielsku są inne, równie ważne, w innych językach. Że literatura jest jedna, ale bardzo różnorodna. Rozmawiam z tłumaczami z różnych języków na angielski i wszyscy mamy takie same wrażenie – to jest syzyfowa praca. Jeden z największych dzienników na świecie napisał we wtorek o finalistach Międzynarodowego Bookera, nie informując ani słowem o tym, że te książki są tłumaczone z innych niż angielski języków. My, tłumacze, nie istniejemy. Nie chodzi o nasze ego, ale o to, żeby wśród czytelników z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych zwiększać świadomość tego, że istnieje literatura tłumaczona. To się zmienia w ostatnich latach. Częściowo dzięki działaniom tłumaczy i dobrych, niezależnych wydawnictw, takich jak Fitzcarraldo Editions, które wydaje książki Tokarczuk¹⁴.

Na przykładzie dwóch wyżej przytoczonych wypowiedzi tłumaczek Olgi Tokarczuk można zdać sobie sprawę, że rolą tłumacza nie jest „tylko” przekład. Składa się na to wiele innych zadań, z których często my, czytelnicy, nie zdajemy sobie sprawy. Warto wspomnieć,

¹³ M. Markić, *Sę kac z po serbsku* (rozm. przepr. M. Waligórski), „Fabularie” 2019, nr 1, s. 19.

¹⁴ A. Lloyd-Jones, *Międzynarodowy Booker 2019. Tłumaczka Olgi Tokarczuk: Kiedy książka jest tak dobrze napisana, mam wszystko na talerzu. No, prawie...* (rozm. przepr. N. Szostak), „Gazeta Wyborcza”, <http://wyborcza.pl/7,75517,24637726,miedzynarodowybooker-2019-tlumaczka-olgi-tokarczuk-kiedy.html>

iż wiedza o zadaniach tłumacza jest coraz bardziej rozpowszechniana poprzez coraz to nowsze publikacje i wypowiedzi w przestrzeni medialnej, których autorami są ludzie związani z książkami: wydawcy, recenzenci, czy blogerzy podejmujący różne debaty. Media odgrywają tutaj bardzo ważną rolę ze względu na to, że pełnią rolę przekąźnika tych informacji. Skutkuje to pojawianiem się coraz większej ilości świadomych czytelników, mają bowiem oni lepszy dostęp do źródeł. Generalizując, wydaje mi się, że ze względu na sytuację ekonomiczną wielu wydawnictw, rola tłumacza jest o wiele trudniejsza, kiedy jest on odpowiedzialny dodatkowo za promocję książki.

I tutaj powstaje pewien paradoks związany z umasowieniem środków przekazu, popularność roli tłumacza jest bezpośrednio związana z popularnością literatury jako takiej. Mimo wszystko są to media na tyle niewystępujące w szerokim obiegu, że promocja książki jest nikła, co oczywiście jest jednym z wielu czynników niby to malejącego poziomu czytelnictwa. Warto nadmienić, że to właśnie promocja tłumacza może być jedną z rzeczy umożliwiających książce znalezienie się w kanonie, bądź odkrycie jej na nowo.

Rola przekładu – a co za tym idzie – osoby tłumacza, w tworzeniu kanonu literatury powszechnej jest bardzo znacząca. To za sprawą nowych przekładów literatura ma szansę na przetrwanie, istnienie w świadomości społeczeństwa, odczytanie na nowo, wzbogacenie kultury:

„Umberto Eco powiadał, że prawdziwym językiem Europy jest przekład. [...] Książka najdłużej żyje w tłumaczeniach; w oryginale kamienieje, staje się pomnikiem. Jej kolejne wcielenia w językach obcych ożywiają skamielinę; reinkarnacje nie pozwalają arcydziełu skostnieć, czyta się je od nowa i na nowo rozważa”¹⁵.

¹⁵ M. Bieńczyk, dz. cyt, s. 23.

ROZMOWY

NA

STRONIE

Niektórzy będą rozczarowani – rozmowa Iwa Sadeckiego z Rafałem Różewiczem

Rafał, nie znamy się, nie licząc kilku wiadomości na Messengerze rozmawiamy ze sobą po raz pierwszy, dlatego cieszę się, że przystałeś na bezpośrednią konfrontację aniżeli na bierną wymianę maili, w której można cyzelować i wygładzać odpowiedzi, a przecież nie o to chodzi w rozmowie, zgodzisz się?

No tak, kilka dni temu miałem nagranie, opowiadałem o tej książce przed kamerą, teraz mówię do telefonu, myślę, że wyjdzie ciekawiej niż w przypadku wymiany wiadomości, gdzie zawsze jest czas na autokorektę.

Urodziłeś się rok po transformacji ustrojowej, więc Twoje wczesne dzieciństwo przypadło na lata 90., a obecnie jesteśmy świadkami swego rodzaju zbiorowej nostalgii za tym okresem. Myślę, że nie bez kozery twoją trzecią książkę otwiera wiersz „Naj ntisy”, choć po przeczytaniu go odnosi się wrażenie, że to dość przewrotny tytuł. Jaki masz stosunek do tego okresu i co sądzisz o tej popkulturowej tęsknocie?

Ten wiersz powstał jako ostatni i faktycznie jest dosyć przewrotny. Zbliżam się do trzydziestki, więc dla mnie takim naturalnym powrotem jest powrót do lat 90., czasu naszego dzieciństwa, przemiany ustrojowej, gazetek Bravo, Popcornu, ale z drugiej strony mam świadomość, że to był smutny okres w historii najnowszej Polski, bo okazało się, że transformacja nie jest tak idealna, jaka mogłaby się wydawać, czego najlepszy dowodem jest miejsce z którego pochodzę – Nowa Ruda, gdzie lata 90. były najtrudniejszym okresem w historii górnictwa w tym mieście. Zlikwidowano kopalnię, przez co wielu mieszkańców straciło pracę, zamknięto warsztat włókienniczy. Część osób straciła stabilność finansową, została wykluczona przez system, radykalny kapitalizm sprawił, że to był trudny czas, może nie dla Polski jako państwa, bo gospodarka zaczęła się rozwijać, ale dla ludzi z małych miejscowości owszem. Dla mnie wspomnienie tych czasów jest powrotem do mojego dzieciństwa, aczkolwiek jest to powrót słodko-gorzki i taki też jest ten wiersz.

Czyli konkluzja jest taka, że te „Naj ntisy”, wcale nie były takie naj?

Specjalnie to rozłączyłem, dzięki czemu już w tytule mamy grę słowną, która naprowadza czytelnika na charakter utworu – jest trochę ironicznie, trochę przewrotnie, ale jednocześnie sentymentalnie i nieco brutalnie.

„Przy praniu brudów nie da się uciec od polityki” napisałeś w jednym utworze. Wyziera z nich niejednokrotnie spore rozczarowanie obecnym stanem rzeczy – drożący czynsz, zapaść w służbie zdrowia. Masz nawet jeden wiersz, i to mi się bardzo podoba, w którym eutanazja wychodzi na pierwszy plan – odważny, bo to kwestia wyraźnie polaryzująca. Z drugiej strony niewiele jest tematów, które w 2020 roku nie dzieliłyby polskiego społeczeństwa.

Tak naprawdę te tematy nie są przepracowane, one dzielą, ale nikt nad nimi się głębiej nie zastanowił.

Zgadza się, ale chciałbym cię zapytać, czy poezja może mieć jeszcze jakikolwiek wpływ na dyskurs polityczno-społeczny?

Mnie się wydaje, że ma ograniczony wpływ. Poezja w zasadzie nic nie znaczy, ale jest bardzo wielu autorów, którzy tworzą wiersze zaangażowane politycznie, więc jest ważna dla samych poetów, aby zlokalizować swoje odczucia i wpleść w utwory sprzeciw. W szerszym kontekście poezja nie ma jakiegoś większego znaczenia. Krytykujemy ten świat w bardzo wąskim gronie i tak naprawdę poza naszą bańką nikogo to nie obchodzi. Nie zmienia to faktu, że czasami na pewne kwestie trudno pozostać obojętnym. Poeta obserwuje i opisuje świat, który nie jest idealny, a właściwie z roku na rok jest coraz gorszy, a to, że go krytykuje jest wpisane w naturę twórcy, który stoi z boku i komentuje rzeczywistość przez pryzmat własnych doświadczeń. Niemniej problem jest szerszy – mimo bardzo dużego zaangażowania młodych twórców, objawiającego się tworzeniem wierszy, które mają określony charakter polityczny, poza samym pisaniem niewiele się dzieje.

Czyli rozumiem, że tworząc wiersz częściowo zaangażowany jesteś pogodzony z tym, że to jest takie trochę pisanie w próżnię i nie odbija się szerszym echem?

Tak i powiem ci, że ostatnio rozmawiałem z jednym krytykiem, który miał okazję przeczytać moją książkę. Zna dwa poprzednie tytuły i powiedział, że ta mu się nie podoba, że to jest najbardziej depresyjna pozycja z mojego dorobku i w zasadzie po co ona powstała? Powstała po to, żeby pokazać, że rezygnacja jest naturalnym krokiem w stadium rozwoju twórcy i właśnie pojawia się na kartach tej książki. Powiedział też, że ten tomik nie przynosi żadnej nadziei na poprawę, że dominuje w nim brak wiary w przyszłość. I ja się z tym absolutnie zgadzam, bo ta książka powstawała w momencie, kiedy jako człowiek, jako twórca, straciłem złudzenia, może też ambicje i nastąpiła rezygnacja z działania, które zamknęło się w samym myśleniu o tym działaniu.

Nie odkryję Ameryki jeśli powiem, że bardzo często punktem odniesienia w wierszach z drugiej części „Po mroku” jest łóżko, kołdra, poduszka, koc. Z jednej strony rozumiem tę pochwałę atrybutów z najbliższego otoczenia, próbę stworzenia swojego prywatnego mikrokosmosu, niemniej zastanawia mnie ile da się wycisnąć z tych rekwizytów, żeby nie wywołać w czytelniku znużenia?

W pierwszej książce opisałem swoje całe mieszkanie i myślałem, że to już będzie wszystko, ale okazało się, że można wracać do tych samych przedmiotów i patrzeć na nie z nieco innej perspektywy. Tutaj chciałem też trochę zawęzić rekwizytorium, więc na pierwszy plan wychodzi łóżko i przedmioty mu towarzyszące o których wspomniałeś, niemniej starałem się opisać je na różny sposób – z perspektywy osoby leżącej, z perspektywy ludzi, którzy tę osobę odwiedzają, z perspektywy jego elementów, czyli koca, kołdry itd. Chciałem trochę z tego zrobić requiem dla łóżka, ale też swego rodzaju hołd. Zawsze pisałem o przedmiotach, zawsze mnie nęciły, ale teraz doszedłem wniosku, że skoro jestem na takim, a nie innym etapie życia, gdzie przede wszystkim obserwuję świat z perspektywy osoby leżącej to łóżko będzie w centrum. Pomyślałem też, że nawiążę do sztuk Tadeusza Różewicza, gdzie głównym atrybutem było łóżko. Mam nadzieję, że zrobiłem to na tyle ciekawie i tomik jest przeplatany na tyle różnorodnymi tekstami, że nie wywoła to znużenia.

Wspomniałeś o perspektywach, a ja chciałem skupić się na wierszu o tym samym tytule, w którym nawiązałeś do Stephena Hawkinga, gdzie rezonują pewne fizyczne ograniczenia wynikające z niepełnosprawności. Trudno nie ulec wrażeniu, że jest to trochę autobiograficzny tekst, ty sam jesteś osobą niepełnosprawną i w związku z tym chciałbym zapytać jak to wpływa na twoją tożsamość literacką?

Unikałem tego typu tematów w swojej twórczości, ale zostałem zmuszony przez rzeczywistość do tego, żeby podjąć rękawicę. Wydarzyły się pewne sytuacje, które były dla mnie osobiście smutne, które mocno przeżyłem, ponieważ spotkałem się z dyskryminacją ze względu na swoją niepełnosprawność. Zawsze od tego uciekałem, musiałem to sam przepracować, niemniej ze względu na autobiograficzny charakter książki ten utwór, podobnie jak „Jestem kaleką Kafki” znalazły się w „Po mroku”. Czytam je też na spotkaniach autorskich, bo jest to pewna forma autoterapii. Swobodnie o tym mówię, na co dzień sam pracuję z osobami niepełnosprawnymi, więc okazuje się, że te wiersze stały się dla mnie czymś naturalnym, choć miałem przed tym opory.

Podoba mi się puenta w wierszu „Stany Zjednoczone”: „To przecież wiersz, / on ma za zadanie wyjść z domu. Nie ja.” Przypomniał mi się tekst „Kim jest ta dziwna nieznajoma?”

z twojej poprzedniej książki, w którym kończysz „Więc piszę wiersz, może jemu uda się kiedyś zagadać.” Ciekawy jest ten zabieg stawiania wyzwania wierszowi, traktowania go w kategorii jednostki do zadań specjalnych, z drugiej strony to przecież twój twór, więc jego ograniczenia są twoimi ograniczeniami. A może się mylę?

Ciekawą rzecz tutaj poruszyłeś, jakoś się nad tym nie zastanawiałem, że ograniczenia wiersza można porównać do samego podmiotu czy twórcy, ale czy ja stawiam jakieś zadanie wierszom? Trochę tak i trochę nie – wiersz musi być dobry. Zastanawiamy się nad tym jak on jest napisany, jakim warsztatem dysponuje twórca, ale co zrobi z tym wierszem czytelnik to już trochę poza mną, to on może mu przypisać jakąś rolę: społeczną, polityczną, czy konfesyjną. Wiersz po prostu jest, funkcjonuje jako tekst, a później wrzuca się go w rozmaite konteksty, przypisujemy mu dane funkcje i tyle. W przytoczonym przez Ciebie fragmencie chciałem też nawiązać do tej słynnej frazy Andrzeja Sosnowskiego „wiersz wychodzi z domu i nigdy nie wraca”, więc jest trochę tak, że ja te wiersze wypycham z domu, bo nie wypycham samego siebie, jestem domatorem, większość czasu spędzam w mieszkaniu. Autor żyje, myśli, pisze, ale odpowiedzialność zrzuca na wiersze, a później ona przechodzi na czytelnika, więc autor jest trochę pomiędzy, albo nawet poza tym.

Zauważyłem, że w niektórych wierszach dosyć wyraźnie wbijasz szpilę korporacjom. Skąd ta niechęć, masz jakieś przykre doświadczenia z tego rodzaju instytucjami?

Mieszkam w centrum Wrocławia i miałem przez jakiś czas widok na kawałek zieleni. Niestety przyszedł deweloper, postawił jebitny hotel, więc teraz nic nie widzę z okien swojego mieszkania, a dodatkowo czasem na elewacji pojawiają się jakieś billboardy z reklamą mydła. To jest taka naturalna reakcja człowieka, który się wkurza, że zabudowują mu przestrzeń – dzielnica w której mieszkam od 10 lat stała się dzielnicą stricte biznesową, powstało wiele biurowców, które wyglądają tak samo i to jest bardzo przygnębiający widok. Swoją drogą, zastanawiam się, kiedy ze względu na to sąsiedztwo czynsz wzrośnie do tego stopnia, że nie będą go mógł opłacić. Poza tym, jestem bardziej na lewo i nie lubię systemu w którym obecnie żyjemy, bo to jest oligopol, czyli rządy kilkunastu wielkich podmiotów, i tak naprawdę konkurencja w tym wypadku nie istnieje, dla małych przedsiębiorstw po prostu nie ma zbyt wielu miejsc. Boję się, że świat będzie wyglądał tak, jak z Resident Evil, jak jedna wielka korporacja Umbrella. Ciekawe jest też to, że w tych biurowcach światło jest zawsze włączone, przez co trochę przypomina mi to zagrywki stalinowskie – w pałacu na Kremlu zawsze paliło się światło, bo wódz nigdy nie spał. Wtedy mieliśmy totalitaryzm stalinowski, teraz mamy totalitaryzm kapitalistyczny – Wielki Brat patrzy, monitoring na każdym kroku, twoja wolność jest

ograniczona. I dla mnie ten świat kurczy się do rozmiarów łóżka, bo to jest jedyne miejsce, gdzie można poczuć jakiś zew wolności.

Na koniec chciałbym jeszcze poruszyć kwestię twojej działalności literackiej, ale nie tyle związanej z pisaniem wierszy, co z pisaniem o wierszach innych twórców. Zdarzało ci się jeszcze jakiś czas temu tworzyć coroczne podsumowania dotyczące polskiej poezji, zwłaszcza w kontekście autorów urodzonych po 1990 roku – to zresztą było twoje główne założenie, kiedy powołałeś do życia „2Miesięcznik”, ale ostatnio temat ucichł. Zastanawiam się z czego to wynika: brak czasu, zmęczenie materiału, a może po prostu młodzi twórcy już cię nie przekonują?

Przede wszystkim brak czasu, proza życia sprawiła, że musiałem się zająć innymi rzeczami, ale cały czas śledzę debiuty i o nich myślę. Takim naturalnym przedłużeniem działalności o której wspomniałeś jest nagroda literacka FEJM, którą organizuję razem z moją narzeczoną, Natalią Dziubą. Jest to nagroda ufundowana z prywatnych środków dla najlepszego debiutanta/debiutantki w danym roku, wręczenie prawdopodobnie nastąpi w lutym. Nawiązując do twojego pytania, cieszę się, że z „2Miesięcznika” wzięło przykład kilka kwartalników literackich – z tego co pamiętam parę lat temu nie było w ogóle żadnego młodoliterackiego pisma, powstał „2Miesięcznik”, potem się zamknął, ale pojawiło wiele innych tytułów, które w jakimś stopniu odwołują się do tego czasopisma, o ile się nie mylę „Mały Format” nawiązuje do niego w swoim manifestie, czyli wychodzi na to, że stworzyłem pismo kultowe. Cieszy mnie więc, że zainicjowałem pewien mechanizm – w natłoku tej świetnej literatury i krytyki literackiej młodych ludzi, „2Miesięcznik” jest niepotrzebny, spełnił swoją funkcję, roczniki 90’ wzięły się za siebie i stworzyły własne komitety, kwartalniki. We Wrocławiu nie wyszło, bo nie mamy tutaj jak dotąd żadnego czasopisma, w przeciwieństwie do Krakowa czy Warszawy, ale cieszę się, że zapoczątkowałem pewną dyskusję i jestem wdzięczny, że niektórzy autorzy w swoich biogramach wspominają, że publikowali w „2Miesięczniku”. To jest miłe i chyba świadczy też o tym, że młodzi twórcy instynktownie potrzebowali takiego czasopisma, które zainaugurowało szturm młodych w literaturze polskiej.

STRONA

WOLNA

Rafał Gawin

(urodzony w 1984 roku) – poeta, recenzent, redaktor, korektor i sekretarka „Arterii”, konferansjer i reanimator kultury. Wydał arkusz Przymiarki (2009) i dwujęzyczną książkę poetycką *WYCIECZKI OSOBISTE / CODE OF CHANGE* (2011). Tłumaczony również na język bułgarski i rosyjski. Publikował m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Dzienniku Łódzkim”, „Odrze”, „Tyglu Kultury”, „Opcjach”, „Kresach”, „Frazie”, „Red.”, „Portrecie”, „Wyspie”, „Wakacie”, „Cegle”, „Kalejdoskopie”, „Kronice Miasta Łodzi” oraz *Na grani. Antologii wierszy łódzkich debiutantów* (2008), antologiach *Połów. Poetyckie debiuty 2010* (2010), *Anthologia2#* (2010) i *Co piłka robi z człowiekiem? Młodość, futbol i literatura* (2012). Mieszka w Łodzi, gdzie pracuje jako instruktor w dziale imprez Domu Literatury.

MANIFEST JAKO MANII FEST. REWANŻ ZA MONSTRUM MENSTRUACJI

Nie zrozumcie mnie źle. Ale nie próbujcie też zrozumieć mnie dobrze. Nie mam wam nic więcej do okazania. Okazy to gatunki ginące. Ginąć jest rzeczą polską. Nie widzę czegoś, co nie istnieje.

Jestem manifestem mężczyzny, który poświęcił męskość dla ludzkości, nie korzystając z niej w kluczowych momentach, dlatego szybko został zdemaskowany i pochowany na cmentarzu próżności.

Jestem manifestem pożytecznego idioty, który ma wrogów po to, żeby nie mieć zbyt wielu przyjaciół; bliskie relacje boją, gdy nie zgadzają się odległości na mapie pożądań.

Jestem manifestem byłego katolika i obecnego Polaka, który woli izolację, choćby z kablem podsłuchowym, jeśli tylko ma zapewnione pierwotne rozrywki; niech mnie zobaczą! – powtarzam się, krzycząc z szafy.

Jestem manifestem autora pustki, która nawet wystawiona na sprzedaż jest nielegalna.

Jestem dobrą partią, partią razem, czyli osobno, ginącym gatunkiem w genderze, umiejącym odmawiać marksistowskie pacierze w dobrej niewierze pracy z socjalnej tacy, po gwarantowanym odchodzie, po wegańskim kotlecie, więc bez energii i odnowy eko biol-chem, choćby na trans-parytecie.

Jestem anarchią zerwaną z drzewa, przywiązany buldogiem buldożera i konserwą turystyczną w paszczy puszczy, za trzysta na każdym rogu; sam się wydalłam, by przetrwać w tym, czym jestem, czyli jem.

Jestem kolaboracją z systemem znaków w zamkniętym obiegu, gdzie czystość ceny intencji osiąga się poprzez współzawodnictwo w nienarzucającym skojarzeń pośrednictwie; gdzie wygrywa ekonomia retrokolesiostwa, którego wazelina już wyschła, więc wygląda niczym spiż; liż chuja, liż, poprawności apolityczna.

Jestem Panem Kleksem, który zostawiając niespialne ślady, zaznacza swoją obecność w dyskusji o molestowaniu i gwałcie, również symbolicznym; wrabiany w bezustanne erekcje stoję trochę z boku, nie skacząc, jak mi nasrają do życiorysu.

Jestem dzieckiem tropiącym goryla we mgle, po wypadku papierowego samolotu; ognia! brzozy! kozy!

Jestem drzewem życia i poznania, z którego Noe zbudował arkę, a Lech nowy mit założycielski cywilizacji śmierci.

Jestem upadkiem muru berlińskiego, wolnomularzem, który szuka czułych miejsc do budowy nowych ścian, nowych nie-wież.

Jestem unią europejską pełną narodowych socjalistów, która zjada się od środka ustami obcych handlarzy roszczeń.

Jestem milczącą planetą w ostatnim krzyku mody, kręcę się w kółko na rozlanym mleku, które w poprzednim wcieleniu było wazeliną.

Jestem władcą much, który uprawiając seks na pająka, płacze się w zeznaniach, obciążających innych superbohaterów.

Jestem bohaterem możliwości wyspy, który stracił nadzieję na indywidualne tonięcie.

Jestem bohaterem paragrafu 22 i innych paragrafów w zawieszeniu, który wymyśla własne wojny, by je przegrać na medal.

Jestem bohaterem braku, który nie zrozumiał nadmiaru, dlatego postanowił unicestwić wszelką wystarczalność.

Jestem romantykiem chwytającym dzień za piersi, by mieć czym oddychać, przy braku kondycji, pionu i innych stałych granic; rozmawiam o gwiazdach, które widzisz podczas szczytowania nocą.

Jestem magnesem na cipki, zamontowanym w widocznym miejscu, by przyciągał tym, że wystaje, i pozwalał się ocierać przy każdym kocim ruchu.

Jestem światowym seksizmem, któremu od nadużyć odpadła gęba penisa.

Jestem światowym feminizmem, któremu od nadużyć odpadła gęba antypenisa.

Jestem trzecią drogą, trzecią połową i trzecią nogą, nie trawię golizny, połykam ją w całości, chyba że są same ości, z zepsutej od dupy ryby.

Jestem wrakiem w wietrznym wyścigu, torebką po herbacie wysaną z dobrego smaku i porzuconą w błocie.

Jestem językiem, który się wiję, zwinięty w rulon jak plik bezwartościowych banknotów, przypominających o wielkiej i dumnej przeszłości liczbą zer, zer na horyzoncie intelektualnym.

Jestem powtórzeniem wulgaryzmu, które nie znika wraz z echem zaproszenia do wspólnej zabawy, tylko draży, draży, aportuje i abortuje, taki podkład i pokład, składka i wkładka, wykładnia, która się wypierdoli sama, jak ostatnia sprawiedliwa wśród braków narodów świata.

Jestem kiczem końca, który wymyślił kolega po klawiaturze, zanim to było modne, a ja – w roli rzepla – tańczę na jego ogniu w hipsterskiej klubokawiarni.

Jestem dziadą świtu, która nie miała gdzie utkwąć, chybiła, zanim ją pochłonął prorok mrok, pierwszy krok w dymie ze zgliszcz.

Jestem powodzią tysiąclecia i nic, naprawdę nic nie pomoże, jeśli moja nienawiść nie znajdzie ujścia w jakimś czerwonym morzu; prymasie, psikutasie, znajdź mi es, którym syczysz, gdy zabieram ci powietrze przez kręgi w zbożu i romby na swetrze.

Jestem potopem, który po nas choćby, ale najpierw się paliło i nie zaciągało, więc nie ma czego gasić, pragnienia się znoszą i nie znoszą, taka równia pochyła jak twoja była w ulicznej awanturze w sztucznej skórze, po piórze.

Kiedy zieję ogniem, jestem ogniem z paszczy salonowego lwa, smoka na baby, baby boom i shower power golden life; kiedy mówię ostro, z ustami pełnymi odwróconych pochlebstw, daję się zapalić i zgasić niczym, niczym tani znicz, paraolimpiada, parabuch, pociąg, obciąż i ciąg – polityczna rozrywka dla ubogich ciałem.

Kiedy leję wodę, jestem wodą, która niczego nie niszczy ani nie oczyszcza; kiedy mówię konkretnie i wprost, jestem kamieniem z płyty nagrobnej, przeznaczonej do zniszczenia i oczyszczenia, które symbolizuje; tonę za miliony, w obliczu denominacji.

Kiedy zakopuję was w ziemi, jestem ziemią i kręcę, każdy następny obrót to odwiert w poszukiwaniu piekła; z truchłem ropuchy ropy, która nie zamieniła się w księżniczkę, bo pocałunek sprzedała w ramach akcji #MeToo, gdy moc truchlała, a w majtkach zamiast skrzeku pojawił się skrzep.

Kiedy lecę z wiatrem i tracę oddech, jestem wiatrem i oddechem, zyskuję coś więcej, akt, który nie śnił się laryngologom poszukującym niebieskich migdałów: mogę się zrównać z nicością na

usługach pustki w wielkim przestworze braku, gdzie każda nieobecność jest usprawiedliwiona jak śmierć z nudy; obłuda hipokryzji i hipokryzja obłudy.

Mamy to, więc licytujmy się od początku!

Miłosz Hołody

absolwent filozofii na Uniwersytecie Rzeszowskim, obecnie doktorant. Przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą poezji wizualnej w przestrzeni. Interesuje go współczesna kultura wizualna, eksperymentalne formy literackie oraz badania nad praktykami codzienności. W swojej twórczości porusza się płynnie między sztukami plastycznymi i literaturą. Zrealizował trzy wystawy indywidualne: *Cukierki ze słów* (RIK, 2017), *Angielski spacer* (WiMBP w Rzeszowie, 2018), *Pij swój uśmiech* (KBP, 2019) oraz brał udział w kilku wystawach zbiorowych. Publikował rysunki, ilustracje i wiersze w magazynach: „Cegła”, „Helikopter”, „Inter-”, „Stoner Polski”, „Drobiazgi”, „Rzyrador”. Był uczestnikiem *Pracowni Otwartej Biura Literackiego* (2018). Zajmuje się rysunkiem eksperymentalnym.

Aby zobaczyć ruchome grafiki Miłosza Hołody zapraszamy na naszą [stronę internetową](#).

Nikodem Lazurek

(urodzony w roku 1999) niepomielone mięso odpowiedzialne za prezentowanie korażu cyfrowego w internecie. Wyhodowany w Grudziądzu, zasiada w Poznaniu. Oczekuje poklasku i klepania po plecach. Głównie konsumuje. Publikował w „Stonerze Polskim” oraz „Rzyradorze”.

Kobieta



Pionki



Rozwój sytuacji



RTV AGD



ZŁY PIES



Martyna Łogin-Trenda

urodzona w 1991 roku absolwentka Politechniki Łódzkiej. Publikowana w m.in. „Arteriach” i „Magazynie Materiałów Literackich –Cegła”. Laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Współuczestniczy w projektach fundacji Atelier Improwizacji.

1. Casablanka

zawsze będziemy mieli
park Görlitzer
w Berlinie
sierpniowym popołudniem
kiedy dwóch dilerów
napierdalało się
wpadając przy tym na przechodniów
a my na ławce
celebrowaliśmy naszą miłość
i niemiecką policję w akcji

2. Echnida

za zamkniętymi drzwiami

szepty ścian

matka konsumuje

wszystkimi ustami

z ogonem pociętym

na torebki

narzeka na młodzież

swoje dzieci

3. Pod nożem

Proszę,
niech wróci ta, która patrzy,
silna
dzięki związaniu.
Przyjemne ciepło,
ciało,
syn wina i katedry.
Wydziedziczony
z ucieczki.
Jak mogę chronić skórę
przed tym dotykiem?
Otoczyć ją
zimnym żelazem?
Wychodzę naprzód. Tracę
dłoń.

Witold Pozorski

urodzony w 1997 roku w Gdańsku, mieszka w Sopocie. Filolog polski, menedżer, motocyklista. Poeta, animator kultury, współorganizator Festiwalu literackiego Fala Poprzeczna. Do tego Polak, katolik i alkoholik, podobnie jak jego młodzieńcza fascynacja, Władysław Broniewski. Od komunizmu jak najdalej, jak najbliżej za to poezji i mocnych wrażeń. Wcześniej niepublikowany ani nienagradzany i wstrząsająco tym niezmierny.

Przyszedłem pana zabić

Przyszedłem pana zabić.

A kim ty, kurwa, jesteś?

Dobre pytanie, można by nakręcić o tym film, napisać parę książek, ale teraz przyszedłem pana zabić. Pańska egzystencja wyprzedza esencję. U mnie jest odwrotnie.

Jak to? Wczoraj widziałem się z kumplem, a teraz gadam z tobą. Po to jestem tutaj. Moja esencja też wyprzedza egzystencję.

Tak, być może.

Jeśli pan zabije mnie (a nie zabije), to będzie to przejaw wolnej woli, a jeśli ja zabiję pana, to będzie to przejaw sensu.

W każdym razie ja pańską egzystencję kończę. Taka jest moja esencja.

Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz

góral spod Jasnej Góry. Studiował filologię bardzo bliskowschodnią oraz rodzimą. Uczy i się. Nigdy nie był w RPA, USA ani w PSL. Dużo pisze i pali. Z powodu klauzuli sumienia oraz przepisów RODO więcej grzechów nie pamięta, niczego nie żałuje i nie obiecuje poprawy.

Mała kolekcja wielkich dzieł

Edvard Munch - *Krzyk*

[()]

Leonardo da Vinci – *Mona Lisa*

[.,]

Pieter Bruegel – *Ślepcy*

[]

Władysław Podkowiński – *Szał uniesień*

[O!]

Jan Matejko – *Biwa pod Grunwaldem*

[+V--]

Paul Gauguin – *Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy?*

[???]

Stanisław Ignacy Witkiewicz „Witkacy” – *Autoportret*

[W (c+)]

Salvador Dali – *Trwałość pamięci*

[~]

Siergiej Pierow – *Trojka*

[111]

Hans Memling – *Sąd Ostateczny*

[!§!]

Amadeo Modigliani – *Portret Jeanne*

[j]

Pablo Picasso – *Guernica*

[+ + + + + ! + +]

Michał Anioł – *Stworzenie Adama*

[a ← B]

Jan Matejko – *Hołd pruski*

[p/P]

Jan Matejko – *Poczet królów i książąt polskich*

[[k44]]

Pieter Bruegel – *Pejzaż z upadkiem Ikara*

[,]

Edgar Degas – *Absynt*

[N%N]

Józef Chełmoński – *Bociany*

[” *ji*]

Salwador Dali – *Płonąca żyrafa*

[‘h’ **K k**]

Andy Warhol – *Puszki z zupą firmy Campbell*

[ccccccccccccccccccccccccccccccccccccc]

Giorgio de Chirico – *Wielkie wnętrza metafizyczne*

[[]]

Diego Velázquez – *Trzej muzykanci*

[*φφφ*]

Tadeusz Makowski – *Dwaj mali przyjaciele*

[**ΔΔ**]

Andriej Rublow – *Matka Boska Włodzimierska*

[*xM*]

Francisco Goya – *Rozstrzelanie powstańców madryckich*

[**Y«**]

Eugène Delacroix – *Wolność wiodąca lud na barykady*

[**!L!**]

Claude Monet – *Plaża w Trouville*

[Φ φ]

Édouard Manet – *Śniadanie na trawie*

[89°9]

Hieronim Bosch – *Wędrowiec*

[; ⇌ ?]

Maurice Utrillo – *Ulica Marcadet*

[> s <]

Jerzy Duda-Gracz – *Babie lato*

[∞ ”]

Stanisław Wyspiański – *Planty o świcie*

[Yy . w . yY]

Michelangelo Caravaggio – *Ekstaza św. Franciszka*

[fV]

Ula Sikora

urodzona nad morzem w '98 roku, studiuje psychologię na Uniwersytecie Gdańskim. Udaje wstydliwą, ale tak naprawdę ciągle pcha się na scenę podczas slamów poetyckich. Jej plan na życie to życie. Chce zarabiać w przyszłości pisząc mowy pogrzebowe, ale takie, żeby wszyscy ryczeli.

Pragha 001

Pivni lázně

możesz się wykąpać a potem to wypić pycha
jazz cluby w których nikogo bo drogo
knajpy dobrego vojaka Svejka

Trdelniki w śmietniku

Możesz naładować bitej śmietany albo lodów
Apple cinnamon magic
Czego chcesz ci tam nałożymy tylko zapłać

Bezdomna zagłada, ale jej też się przejadły
Schyla się po jakiegoś krakersa

Twórcy tego zegara na rynku wykuto oczy żeby tylko w tym mieście był taki piękny
Turyści robią zdjęcie i idą dalej

Cztery sklepy z pamiątkami na ulicy
W nich sztuczna porcelana i lizaki z trawką
Żeby zrobić znajomym he he ciekawe czy kopnie
Azjaci-sprzedawcy mają smutne oczy

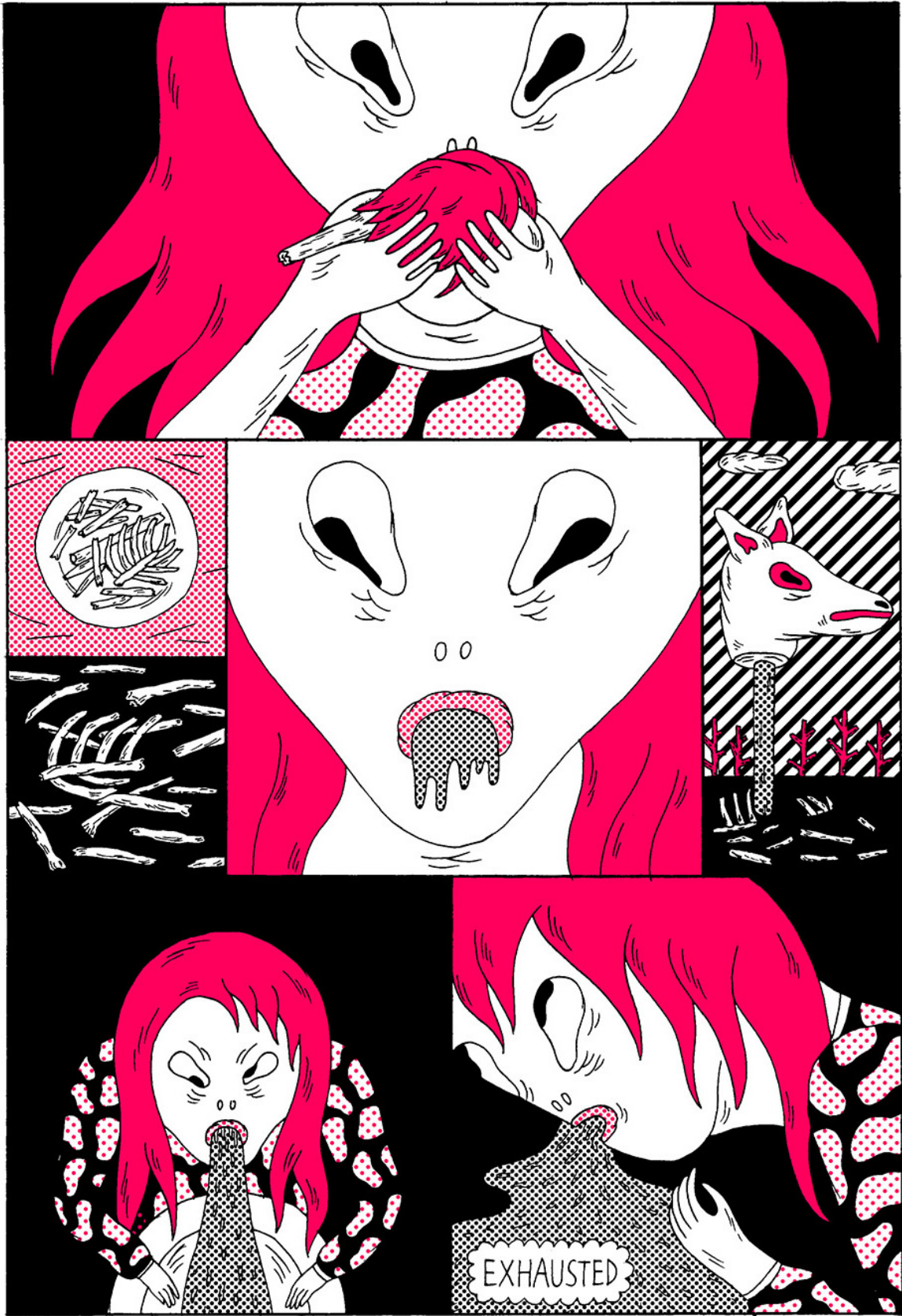
Mały chłopiec wybiega rodzicom na ulicę
Staruszek bez nogi patrzy za nim
Z czułością czy ze strachem ciężko stwierdzić
Przecież nie widzę tu nikogo oprócz siebie

ZAVKA

ilustratorka i autorka komiksów. W swoich pracach pokazuje brutalne stany, kolorowe sny i odloty poza czasoprzestrzeń. Efekty można zobaczyć w psychodelicznym komiksie *Głodny Jaś i żarłoczna Małgosia*, onirycznym *The Hunter*, krwawej baśni *Wąż* i w najnowszej publikacji (premiera w lutym) *Jazda stąd*.

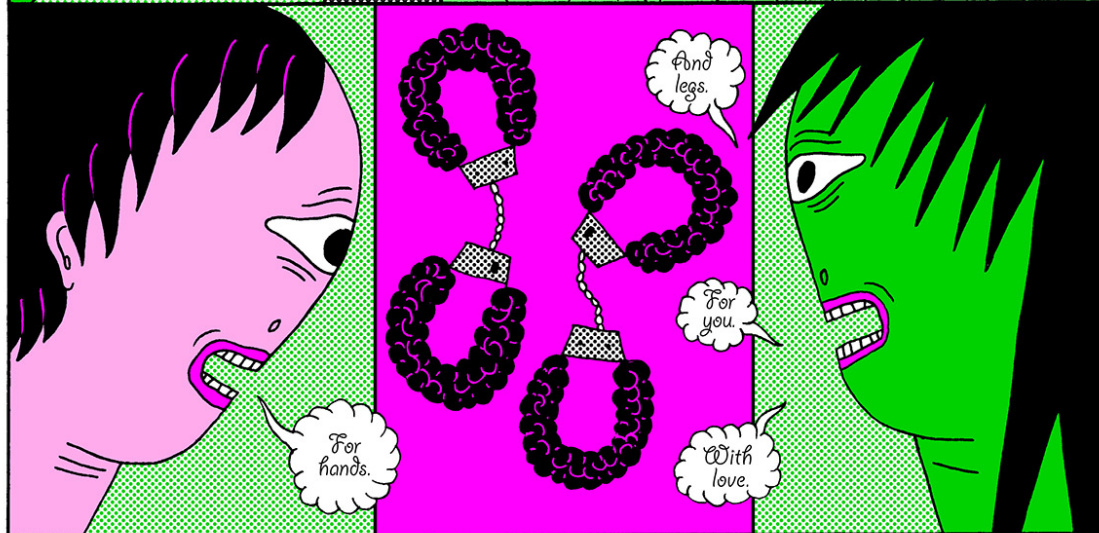
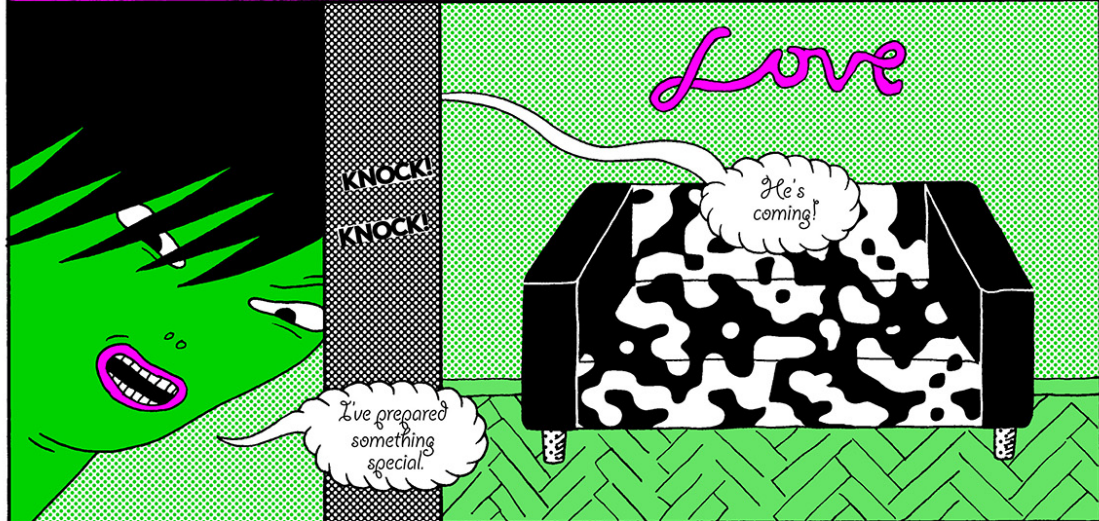














czynna.com